ROCZNIK XII. Listopad 1908. Nr. 11.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

Hołd czci i synowskiej miłości dla Ojca św.

z okazji 50 letniego jubileuszu kapłańskiego.

Miłość ku Ojcu św. powinna pałać w sercu i objawiać się w uczynkach Salezjanów i wszystkich ich Pomocników. Powinniśmy okazywać tę miłość nie tylko wiernem spełnianiem Jego rozkazów i rozporządzeń, ale oraz chętnem przyjmowaniem Jego życzeń i zamiarów. Powinniśmy to okazać wspominając zawsze ze czcią o Namiestniku Chrystusowym, broniąc Go przed złośliwymi językami, tak jak dzieci bronią skrzywdzonego ojca, biorąc udział w Jego radościach i uciskach, wspierając Go środkami, jakie Bóg złożył w nasze ręce.

Ale ta miłość nasza powinna o wiele silniej występować na zewnątrz, gdy tenże drogi nam Ojciec obchodzi ważne pamiątki życia swojego. Najważniejszą zaś z pewnością jest dla Niego pamiątka święceń kapłańskich. Szczęśliwi ci, co będą mogli w tych dniach zbliżyć się do Piusa X. i zawołać z całego serca: **Żyj nam w najdłuższe lata!** Nie wszyscy będą mieć to szczęście przedstawić osobiście Ojcu św. swoje życzenia, ale wszyscy mogą to uczynić uczuciem i sercem. I dlatego prosimy naszych Pomocników, aby w tych dniach zechcieli dla Ojca św. spełnić jaki dobry uczynek, np. przystąpić do komunji św., której częste przyjmowanie Pius X. tak bardzo zaleca, wysłuchać mszy św. lub przynajmniej pomodlić się gorąco na Jego intencję.

ŚWIĘTYCH OBCOWANIE.

WIDZENIE HERMASZA (1).

..... Nie widzisz-że naprzeciw siebie wieży wielkiej, która się buduje nad wodami z kamieni kwadratowych, przepysznych? A budowało wieżę w kwadrat sześciu młodzieńców, którzy byli przyszli z matroną. Prócz tego mnóstwo mężów przynosiło kamienie, które wydobywali, jedne z wody, drugie ze ziemi, i przywlekali je do sześciu młodzieńców; ci zaś brali je i ustawiali. Kamienie, które dobywano z wody, kładziono wszystkie tak jak były; zdatne bowiem były i nadawały się do złączenia z innymi kamieniami; a tak się jeden z drugim spajał, że znać nie było miejsca złączenia; i tak wyglądała budowla wieży, jak gdyby była z jednego kamienia wystawiona. Z reszty zaś kamieni tych, które przynoszono ze ziemi, jedne młodzieńcy odrzucali, drugie zaś ustawiali na budowli, niektóre rozbijali i odrzucali daleko od wieży. Wiele innych kamieni leżało dokoła wieży i nie były użyte do budowli: były bowiem bądź chropowate, bądź ze szczelinami, bądź otłuczone, bądź białe a krągłe, do budowy nie przydatne... I rzekłem do Matrony: Pani, na cóż mi się zda widzieć te rzeczy, a nie wiedzieć ich znaczenia?... Odpowiedziała: Nad wodami buduje się wieża (to jest Kościół), bo z wody (chrztu) wyszło zbawienie wasze..... A kamienie, które tak dobrze się spajają, oznaczają sługi Boże, co weszli do Kościoła przez miłosierdzie Boże, tak ci, co już pomarli, jako i ci, którzy jeszcze żyją, a zawsze byli pomiędzy sobą w zgodzie, a mieli spokojne sumienie, a jeden drugiemu był posłuszny. A które odkładają na bok, ci są, co zgrzeszyli, ale mają chęć pokutować; odrzuceni są od wieży, ale niedaleko; bo przydadzą się do budowy, jeżeli pokutę czynić będą. A kamienie białe a krągłe, od budowy odrzucone, kto są ci, o Pani, moja? A zabrawszy ponownie głos Matrona, odrzekła: Ci są, co razem z wiarą posiadają i bogactwa tego świata. I dodałem: Pani, a kiedyż ci zdatni będą dla Pana? Rzekła: Gdy skruszone będą bogactwa, w których sobie tak bardzo upodobali, wtenczas będą użytecznymi dla Pana i zdatni do budowy. Albowiem jako głaz, gdy nie jest ciosany i nie skruszą się części jego okrągłe, nie spaja się z drugimi, tak bogacze, jeżeli nie będą podzielone ich bogactwa, nie zdadzą się dla Boga. Poznaj to na sobie. Gdy dobrze się miałeś, byłeś bez owocu: teraz użytecznym jesteś i zdatnym, bo i ty byłeś jednym z tych kamieni...

(1) Hermasz był to pisarz Kościoła z czasów apostolskich; może do niego, odnosi się pozdrowienie św. Pawła w liście do Rzymian (XVI, 14): *Pozdrówcie Assynkryta, Phlegonta*, HERMASZA, *Patrobę, Hermena i bracią, którzy są z nimi.* W niektórych dyecezjach Kościoła pisma Hermasza uważano za Pismo Święte.

Dobra rada dla wszystkich.



Między naszymi Pomocnikami i Pomocnicami jest niewątpliwie spora liczba takich, których Opatrzność hojnie obdarzyła fortuną. Niejeden nie wie, komu ją zostawić, bo albo nie ma potomstwa ani biednych krewnych, albo obawia się, że zrobią z niej zły użytek, jak się to często zdarza. Niektórzy po długich a nieraz dręczących namysłach umierają, nie zrobiwszy testamentu, i dają powód do długich sporów między krewnymi. Inni, spisując swą ostatnią wolę niewyraźnie lub wadliwie, narażają testament na unieważnienie i zaprzepaszczają wielkie majątki, które chcieli przeznaczyć na cele kościelne lub dobroczynne.

Otóż jeżeli niektórzy z naszych Pomocników lub Pomocnic znajdują się w takich warunkach, to mamy dla nich taką radę: Niech *za życia* zapiszą wszystko przybranemu Ojcu Zbawiciela i Boga naszego, Przeczystemu Oblubieńcowi Najświętszej Panienki, troskliwemu *Skarbnikowi i Szafarzowi* Opatrzności, czyli *niech przed śmiercią złożą swoje bogactwa na budowę salezjańskiego kościoła św. Józefa w Przemyślu.*

Proszę tej rady nie uważać za dziwactwo. Istnieje po dziś dzień w Rzymie wspaniały kościół *Santa Maria Maggiore*, jedna z czterech bazylik patrjarchalnych. Powstała ona w 10 wieku wśród następujących okoliczności. Za papieża Liberjusza żyli w Rymie małżonkowie bezdzietni, zarówno bogaci jak cnotliwi. Chcąc majątkiem rozporządzić wedle woli Bożej, modlili się gorąco do Najświętszej Panny, aby im wskazała cel najodpowiedniejszy. Zostali wysłuchani w sposób cudowny. W nocy z 4go na 5ty sierpnia 352. r. objawiła się obu małżonkom i Ojcu świętemu Matka Boska, polecając im, aby wystawili kościół na tem miejscu, które dnia następnego, mimo niezmiernego upału letniego, będzie śniegiem pokryte. Jakoż już wczesnym rankiem obiegła miasto wiadomość, że na pagórku Eskwilinie leży gruba warstwa śniegu. Ojciec św. z wielkim tłumem ludu udał się na miejsce i nakreślił plan kościoła, który wzniesiony funduszem małżonków, został następnego roku przez tegoż papieża Liberjusza konsekrowany.

Tam spadkobierczynią majątku została Najśw. Panna, tu ma mienie odziedziczyć Jej Stróż i Oblubieniec, św. Józef. Sławna bazylika powstała w miejscu bardzo odpowiedniem, bo wskazanem przez samą Matkę Boską; kościół św. Józefa w Przemyślu ma stanąć w dzielnicy nowej, kościoła niezbędnie i pilnie potrzebującej, mianowicie na Zasaniu. Jest to część miasta zamieszkała niemal wyłącznie przez polski lud robotniczy. Odległość kościoła katedralnego i inne trudności wstrzymują wielu od uczęszczania na nabożeństwa i sprzyjają zobojętnieniu dla

religji. Wiadomo, że klasa pracująca w dzisiejszych warunkach albo się zbliży do kościoła i we wierze wytrwa, albo zapominając o Bogu, pójdzie na lep propagandy socjalistycznej i przepadnie dla wiary. Niechby tu jak najrychlej stanął kościół, a zaraz skupi się około niego wszystko to, co katolickie i polskie, zgubne mrzonki międzynarodowe już tak łatwo do proletarjatu przystępu mieć nie będą, a co już dla słabości w sidła wpadło, to rychlej wytrzeźwieje i wróci do dawnych wierzeń.

Posterunek ten nabierze zaś tem większego znaczenia, że obok kościoła ma stanąć dom salezjański, w którym młodzież polska ma rość na obrońców wiary i na dobrych synów ojczyzny. Na taki cel mienie swoje oddać, na kościół, na zakład wychowawczy, to powinno być ideałem i ambicją każdego zamożniejszego człowieka, który względem krewnych nie ma obowiązków.

A ubodzy? Te tłumy spracowanych robotników, te krocie wieśniaków dotkniętych klęską elementarną, te szeregi biednych sług? Dalej ci wszyscy, których świat do biednych nie zalicza, bo ich widzi na stanowisku, w urzędzie, a którzy rodziny wyżywić nie mogą, nie mają dzieci za co kształcić, a w dodatku muszą się na każdym kroku z biedą swoją kryć? Czy do nich nie odnoszą się nasze słowa?

Owszem, do nich więcej, niż do bogatych. Wszak święty Józef jest szafarzem darów Bożych, powiernikiem i stróżem skarbów Opatrzności na ziemi. Komu ciężko, bardzo ciężko, niech ofiaruje coś dla św. Józefa, a On go niechybnie pocieszy, poratuje, ulży mu, pomoże. Najmniejsza ofiara, grosz wdowi może sprowadzić zmianę stosunków materjalnych, przynieść błogosławieństwo Boże, wyprosić opiekę św. Józefa. Gdy chodziło o wzniesienie przybytku na puszczy, kazał P. Bóg ofiarować i przyjmować nawet skórki kóz i koźląt, chcąc dać do zrozumienia, że kto nie może dać wiele, temu najmniejszy datek za zasługę policzony będzie.

Bogaci więc niech nie chowają chciwie majątku, niech ofiar na późniejsze lata ani do śmierci nie odkładają, ale niech chętnie korzystają z nadarzającej się sposobności, niech nie żałują grosza na ten cel religijny, dobroczynny, społeczny. Niejeden z nich, mając św. Józefa za patrona, myślał może nieraz o tem, jakby go godnie uczcić: oto chwila spełnienia tego pragnienia. Biedni niech się przyczynią w miarę sił swoich, a św. Józef niechybnie weźmie ich we swoją opiekę i wyprowadzi z trudnego położenia. Wszyscy pamiętajmy, że kiedyś przyjdzie nam pożegnać wszystkie majątki i wszystkie niedostatki; św. Józef, patron dobrej śmierci, wyjedna nam wtedy łaskę pojednania się z Bogiem, jeżeli za życia dbać będziemy o Jego cześć, jeżeli dla Jego kościoła nie pożałujemy tego, na co nas stać.

Aby współcześni i przyszłe pokolenia mogli się budować ofiarnością Łaskawych Czytelników, tak jak dziś jeszcze budujemy się zapałem mężów i niewiast żydowskich podczas wznoszenia przybytku Pańskiego na puszczy, będą ofiary i ofiarodawcy zapisywani do księgi pamiątkowej, którą każdej chwili będzie

można przeglądać u księży Salezjanów w Przemyślu. Imię i nazwisko tych, którzy dla kościoła zakupić raczą okna, witraże, ambonę, dzwony, ołtarze, organy i t. d., uwidocznione będą na przedmiotach przez nich ufundowanych.

Wszystkie datki na kościół św. Józefa uprasza się wysyłać pod adresem: *Księża Salezjanie w Przemyślu (Galicja).*

Dla cierpiących braci.

Z największą boleścią przypominamy, że niektóre okolice naszej Ojczyzny, a mianowicie Galicja, zostały dotknięte strasznemi klęskami. Burze, grady, ciągłe niepogody, wylewy rzek zniszczyły owoc całorocznej pracy w bardzo licznych powiatach Galicji. Już na początku września t. z. jeszcze przed zbiorem ziemniaków, szkody obliczano na sto miljonów koron, tak iż prawie dwie trzecie galicyjskiego kraju można było uważać jako zagrożone widmem głodu. Takiej powszechnej katastrofy nie pamiętają nawet najstarsi ludzie. Zawiązały się komitety ratunkowe, gazety nawołują o pomoc, przestrzegają przed rozpaczą i opuszczaniem rąk, wzywają wszystkie stany do zgodnej a wytrwałej pracy celem ratowania przyszłości tej części naszej Ojczyzny. Ciężko to w podobnych chwilach nieść słowa pociechy tam, gdzie potrzeba nie słów, ale czynnej pomocy. Właśnie w Galicji mamy wielką liczbę Pomocników, którzy wedle szczupłych sił swoich, iście wdowim groszem jak mogli, tak wspierali dotąd nasze dzieła. Wielu z nich z pewnością zostało dotkniętych tegorocznemi klęskami — jedyną ich pociechą będzie teraz myśl, że w latach powodzenia wspierali, jak mogli, dzieła Boże, że przeto ten Bóg najdobrotliwszy, który ich tak ciężko nawiedził, nie da im zginąć z nędzy i głodu, lecz w tysiącach serc wzbudzi dla nich współczucie i gotowość do niesienia im pomocy. Nie zawiedźmy ich ufności, Czcigodni Pomocnicy i Przezacne Pomocnice. Pamiętajmy, żeśmy związani z nimi węzłem bratniej miłości, wspólnej pracy i wspólnego celu. Pamiętajmy o nich w naszych modlitwach, nie zamykajmy przed nimi serca ani dłoni, gdy prosić nas będą o wsparcie: kto może i ile kto może, niech posyła w ofierze na ratunek poszkodowanych.

Lecz jeszcze jedna myśl:

Niemasz na tej biednej ziemi instytucji, któraby ubezpieczała w każdym możliwym wypadku. Zabezpieczył się ktoś od gradu, ognia, powodzi, to jeszcze pozostaje cały szereg wypadków, które go mogą wtrącić w nędzę lub niedostatek. Kto to dawniej słyszał o krachach, o defraudacjach, o przesileniach finansowych (jak ostatnie w Ameryce Północnej) o strejkach, lokautach, które raz poraz wtrącają w biedę i niedostatek nie kilka jednostek, ale setki i tysiące rodzin? Jak się ubezpieczyć od tych i niezliczonych innych nieprzewidzianych wypadków? Oto składając składkę asekuracyjną na ręce tych oto nieszczęśliwych, co obecnie wołają o naszą pomoc. Nie potrzebuje to być składka wysoka, ale dana z serca przepełnionego współczuciem i miłością ku tym cierpiącym członkom Chrystusowym, a braciom naszym. Zostanie ona starannie zapisana u P. Boga, który będzie umiał w swoim czasie oddać dobra w ten sposób zabezpieczone. Dopuściliby się zaś po prostu zbrodni na sobie samych ci, co niedotknięci w tym roku żadnym wypadkiem, marnowaliby lekkomyślnie grosz na tytoń, wódkę, stroje i t. p. rzeczy, a nie pamiętali o tem, że

co mnie dziś, to tobie jutro!

Po tegorocznej klęsce rolniczej.

Znikły na polach pozłacane łany pszenicy, żyta i innego zboża; grad, ulewne deszcze, powódź zniweczyły owoc całoletniej pracy gospodarza. Powszechna ta klęska zaważy na losach niejednego gospodarstwa; niejeden gospodarz, wobec rozpaczliwego położenia ulegnie długo odpychanej pokusie, sprzeda ojcowiznę i pójdzie szukać szczęścia za morzem. Trzeba, żeby się każdy zastanowił nad swojem położeniem i zobaczył, czy niema sposobu uniknięcia tej strasznej ostateczności. Bo przydalibyśmy klęskę do klęski, gdybyśmy się oddali rozpaczy lub chwytali się środków wiodących najczęściej do utraty mienia, życia i wieczności, gdyż jest rzeczą pewną, że większa część emigrantów marnieje do reszty na obcej ziemi.

Cóż nam więc potrzeba czynić?

Przedewszystkiem trzeba w nasze życie tchnąć więcej ducha. Pracować tylko jak koń lub wół całymi dniami i o niczem innem nie myśleć, jak tylko o własnej biedzie i dla ulżenia sobie odwiedzić od czasu do czasu karczmę, to nie może się nazywać życiem człowieka. Aby żyć po ludzku, trzeba umieć wznieść się ponad codzienne troski, otrząść się z przygnębienia, które duszę przygniata, i wybić do tej pogody umysłu, w której jedynie można jasno myśleć i energicznie działać. Ks. Bosko, który tak dobrze poznał a tak bardzo pokochał ludzi, odgadł czego im potrzeba, żeby się mogli wybić do lepszego życia i utrzymać na drodze cnoty. Przeczytajcie jego przedmowę do *Młodzieńca Zaopatrzonego*, albo przypatrzcie się temu światu chłopięcemu w jego zakładach wychowawczych: to właśnie dzieci tego ludu spracowanego, szamocącego się w walce o byt materjalny. Cóż dla nich naturalniejszego, jak oddać się uczuciom troski i niepewności o jutro, popaść w smutek, zniechęcenie, małoduszność? A tymczasem nie! u nich zawsze musi panować nastrój wesoły, który można zauważyć wszędzie, a który w niektórych momentach, n. p. na rekreacji, przybiera pozory istnego szaleństwa: krzyki, hałas, zgiełk, nawoływania mieszają się z kurzem wznoszonym przez setki małych, zapalonych graczy, którzy zdają się zapominać o całym świecie. Z oczu ich pryskają iskry, w żyłach wre krew, a w całym organiźmie kipi życie i energja. Czy rozigrawszy myśli, chcą użyć swobody i puścić w niepamięć troski i cierpienia przygniatające ich rodziny? Tak, chcą użyć swobody, ale ta swoboda zamiast kazać im zapomnieć o doli swych rodziców, która jest zarazem ich własną, przypomni im ją tem mocniej w swoim czasie. Ale wtenczas już się nie dadzą opanować smutkowi, bo rozigrawszy myśli t. j. rozerwawszy pęta małoduszności, uczuli w duszy taki zasób sił i energji o jakiej im się dotąd ani nie śniło: już się nie oddawają bezpłodnym narzekaniom, ale czynią mocne postanowienia; już się nie oddawają marzeniom, ale biorą się do energicznej pracy. A więc jeszcze raz — trzeba tchnąć w życie nasze więcej ducha, otrząść się z trosk codziennych, wznieść myśl i serce do Boga, który nie wypuszcza z swej opieki żadnego stworzenia.

Ale żeby módz z ufnością wznieść myśli i serce do Boga, trzeba uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby sobie i dzieciom zapewnić spokojny zakątek na ojczystej ziemi. Czy możemy powiedzieć, żeśmy uczynili wszystko, gdyśmy przepracowali sześć długich gorących miesięcy letnich?

«*Nie bądźże jako koń i muł nie mający rozumu!*» Nasza praca musi się czemś różnić od pracy zwierząt musi być nietylko ręczną, ale i duchowną, jeżeli chcemy żyć jako istoty złożone z duszy i ciała. Innemi słowy: praca zwierzęcia ogranicza się na ruchu ciała; natomiast praca człowieka, istoty obdarzonej rozumem, musi obejmować ciało i ducha, bo ciało jest tylko narzędziem, a duch jest sprężyną, która porusza siłami ciała naszego. Im ta sprężyna bardziej napięta, tem energiczniej porusza siły ciała.

Musimy więc w czasie odpoczynku po pracy ręcznej **naciągać tę sprężynę** t. j. nie oddawać się próżnemu wylegiwaniu ani niedorzecznym gawędom przy kieliszku, ale usiadłszy przy ognisku domowem, zebrać rodzinę naokoło siebie, serdeczną jaką piosnką pobożną wlać w stroskane serca otuchę, a potem dobrą książką lub gazetką, wskazaną przez ks. proboszcza, uprzyjemnić sobie długie wieczory zimowe i dni świąteczne.

Dopóki nie polubimy książek, dopóki nie nabędziemy zamiłowania w czytaniu, w uczęszczaniu na zebrania i wykłady, dopóty będziemy tylko naśladowali to, czegośmy się nauczyli od naszych przodków, ale będziemy bezradni wobec nowych trudności, które obecne czasy z sobą przyniosły, a których ojcowie nasi nie znali. **Wobec nowych trudności, jakie z każdym rokiem powstają dla gospodarza, trzeba szukać nowych środków, a człowiek ciemny, nieoświecony, nieoczytany, nowych środków znaleźć nie będzie umiał.**

Student, którvby się tylko zajmował nauką, a nie dał także ciału dostatecznego ruchu, aby się mogło rozwinąć, zrujnowałby swoje zdrowie i skończyłby w szpitalu. Tak gospodarz czy robotnik, który pracuje tylko rękami, a zaniedbuje oświaty, prędzej czy później, on albo jego dzieci, popadnie w nędzę i niedostatek. Wiemy to z doświadczenia. Narody i rodziny stojące wysoko pod względem oświaty, stoją także wysoko pod względem dobrobytu materjalnego, a ciemniejsze muszą się im wysługiwać.

Zresztą jak to wygląda życie takiego człowieka, co nigdy nie zajrzy do książki? Pracuje jak nieboskie stworzenie przez cały tydzień, przez całe lato, a gdy przyjdzie niedziela — gdy przyjdzie długa zima, nie umie nic innego robić, jak rozmyślać o swej biedzie, patrzeć z trwogą na wypróżniające się śpichrze, słuchać, jak wiatr gwiżdże przez dziury w dachu i drżeć na myśl o takich wypadkach, jak pożar, powódź, upadek bydła i t. p. Niepobna, żeby taki człowiek mógł wytrzymać całą zimę, by nie zajrzeć do karczmy i nie utopić w kieliszku wszystkich tych trosk i niepokojów. Ale biada człowiekowi, który, aby sobie na chwilę ulżyć, upija się i zabija gwałtownie rozum, ten dar najcenniejszy dany nam przez P. Boga, tę światłość życia, to źródło szczęścia i potęgi. Nie tak, nie tak, drodzy bracia, inne są sposoby, aby sobie uprzyjemnić ciężki ten żywot doczesny.

Spojrzyjmy jeszcze raz do zakładów X. Bosko do jego warsztatów, do jego osad rolniczych; i w nich toczy się walka o byt materjalny, i w nich praca jest mozolna, długa, czasem niewdzięczna, a jednak panuje tam nastrój wesoły. Patrzcie... tam niektórzy z uczniów jeszcze zamiatają warsztat, sprzątają narzędzia, inni już wybiegli, już w sali muzyki instrumentalnej rozległ się gruby głos basu, za nim rykną inne instrumenta zrazu bezładnie, tworząc zamęt najdziwaczniejszych, najprzenikliwszych dźwięków, aż na znak kierownika hałas umilknie, a wyćwiczone instrumenta ozwią się słodką, dźwięczną, harmonijną, melodją.

Patrzcie, tam sala rysunków, zapełniona po brzegi. Cicho w niej, jakby makiem posiał. Tam tylko oko pracuje ćwicząc się w chwytaniu miar, kolorów i odcieni, a co oko podchwyci, to wprawna ręka odda na papierze. W innych klasach wykładają rachunki, język ojczysty i języki obce, uczą, jak się rządzić, jak gospodarzyć, jak z ludźmi obcować. Ciało odpoczywa po pracy, ale umysł pracuje dalej, kształci się, rozbudza drzemiące w duszy a nieznane dotąd potęgi; gdy nazajutrz chłopiec chwyci za narzędzie, będzie pracował nie tylko ze świeżemi siłami ciała, ale i z jaśniejszym poglądem na to, co ma pod rękami i co go otacza. Oto wypoczynek godny człowieka, wypoczynek połączony z wykształceniem ducha. Dopóki nasi gospodarze nie przełamią wstrętu do czytania, do oświecana się zapomocą książek i gazet, dopóty położenie ich chwiać się będzie coraz bardziej. Jeżeli ponadto dostaną się w sąsiedztwo ludzi oświeconych, to niech wiedzą, iż ci posiadają tyle środków do łatwego i zyskownego prowadzenia swojego gospodarstwa, że samem sąsiedztwem swojem, nie używając żadnych środków nielegalnych, zduszą gospodarza ciemnego. A więc przekonajmy się, że nasza bieda pochodzi stąd, że my wprawdzie pracujemy ile sił w kościach, aleśmy uśpili ducha. My po prostu śpimy. Dopiero gdy nam się grunt usuwa pod nogami, wtedy zrywamy się, gotowiśmy puścić się na drugi koniec świata, byle uniknąć głodowej śmierci. I tam dopiero, pod grozą śmierci, lub pod surowem okiem cudzoziemca, bierzemy się do pracy sumiennie, energicznie, przemyślnie. Inni kształcąc ciało i ducha doszli do tego, że mogą teraz posługiwać się pracą naszą. My, pracując ciałem, a zaniedbując ducha, popadamy w biedę i musimy iść wysługiwać się obcym.

Kto chce siebie i dzieci swoje uchronić od utraty ojcowizny, niech zawczasu przełamie księgowstręt, niech się otrząsa z ospałości, niech uczęszcza na wykłady i na zebrania publiczne, do szkoły analfabetów, niech przedewszystkiem pilnie baczy, aby dzieci jego nie marnowały czasu szkolnego, żeby nie zaniedbywały nauki po wyjściu ze szkoły, lecz miały sposobność do dalszego kształcenia się przez książki, gazety, uczęszczanie na zebrania i wykłady. Pamiętajmy zawsze o tem, że

O ś w i a t a i p r a c a, n a r ó d z b o g a c a

WIADOMOŚCI POTOCZNE



OŚWIĘCIM. — Prymicje i 50 rocznica Prymicji. — Wielkiem, rozgłośnem, a pobożnem echem odbił się w Oświęcimiu 50letni jubileusz kapłaństwa Ojca św. *Wielkiem i rozgłośnem*, bo wzięły w tym Jubileuszu udział tysiące naszych Pomocników, przybyłych ze Ślązka pruskiego; *pobożnem*, bo tego dnia obchodziliśmy prymicje nowowyświęconego Księdza Salezjanina. O, jakże godny taki obchód Jubileuszu kapłańskiego Namiestnika Chrystusowego, bo świadczy on żywym przykładem, że kapłaństwo to żyje nietylko we wspomnieniu, nietylko w rocznicy, ale żyje życiem czynnem Kościoła, rodząc wciąż nowe sługi Boże, sługi ołtarza, sługi i przyjacioły biednej ludzkości, targanej na bezdroża, zagłębianej w błoto, w torfowisko zmaterjalizowanego świata! Jakże słusznie we wstępnej do wieczorka jubileuszowego mowie, której treść niżej padajemy, jeden z naszych współbraci wołał: ,,*W górę serca!*'' O tak, w górę serca, bo póki ziemia nasza wydaje kapłanów, póty ona, widać, jeszcze nie wyjałowiona zupełnie, jeszcze odradza Tego, który jej przyniósł żywot. ,,*Jam jest żywot*,'' powiedział, Chrystus Pan, ,,*kto we mnie wierzy, kto mnie pożywa, nie umrze na wieki.*'' A ponieważ z rozkazu i ustanowienia Chrystusowego, On tylko przez ręce kapłana katolickiego udziela się ludziom, zatem póki kapłan katolicki żyje, póty żyje Chrystus w sercach biednych śmiertelników; gdy kapłanów zabraknie, cienie śmierci organą cały okrąg świata.

Wieczorek nasz składał się z wielu udatnych numerów, a wszystkich nieomal celem był Papież, któremu wierszem i prozą młodzież nasza hołd czci i uwielbienia składała, zwracając się od czasu do czasu i do nowozaciągniętego w szranki jego wojska żołnierza, kochanego naszego Prymicjanta. Deklamacje i przemowy przeplatał śpiew chóralny, lub dźwięki dwóch orkiestr, dętej i smyczkowej.

Oto główniejsze ustępy wspomnianego wyżej wstępnego przemówienia: ,,Nieopisana radość napełnia dziś nasze serca, a nasze oczy poniewolnie zwracają się ku jednej osobie. I nie darmo; bo chociaż to nie żaden monarcha, ani mocarz świecki, jest on książęciem w Królestwie Bożem. Sam Bóg dziś do niego przemówił: ,,Postawiłem cię księciem ponad duszami, które masz ratować;'' ,,*Constitui te principem super omnes animas suscipiendas!*'' Zatem on księciem, on monarchą, potężniejszym od wszystkich władców tej ziemi. Królestwo jego, to świat widzialny i niewidzialny. Skoro zechce, jednem słowem potarga kajdany, któremi nieprzyjaciel ludzkości krępuje dusze. A poddanym jego — o dziwo niepojęte! poddanym jego jest Ten, który z istoty Swojej jest Niepodległością samą: Pan nad Pany, Zbawiciel świata!''

,,Lecz w innym jeszcze celu zgromadziliśmy się tutaj, inny mamy jeszcze powód radości: oto pięćdziesiąt lat temu, 19go września 1858 r. w ubogiej wiosce *Riese* ta sama, co u nas dzisiaj, odbywała się uroczystość; i tam młody, 23-letni kapłan, *ks. Józef Sarto*, promieniejący radością, wśród nabożnego tłumu udawał się procesjonalnie do kościoła parafijalnego, aby po raz pierwszy, drżącą od wzruszenia ręką złożyć Najwyższemu bezkrwawą Ofiarę. Jakie uczucia zapełniały wówczas jego serce, on sam tylko, ten wielki wybraniec Boży, mógłby nam powiedzieć. A spoglądali na niego z upodobaniem nietylko uszczęśliwiona matka, uboga wieśniaczka, jego ojciec, całe rodzeństwo i współziomkowie, ale i Najwyższy, który po długich latach, obfitych w owoce życia apostolskiego, miał go Sobie obrać za Namiestnika na ziemi!''

Potem, łącząc z sobą te dwie solenizujące osobistości, oddalonego Ojca chrześcijaństwa i stojącego przed nim syna tegoż Ojca, mówca tak kończy: ,,Nie życzymy Ci, drogi nasz księże Prymicjancie, abyś jak Pius Xty postępował do coraz wyższych godności kościelnych, lecz abyś jak on, mógł kiedyś pełen zasług, wśród kochających współbraci odprawiać swoje złote gody kapłańskie!''

Końcowy wierszyk wieczorka poświęcony był młodemu Lewicie, któremu autor składał w imieniu współbraci i młodzieży, a także zgromadzonej rodziny i rodaków życzenia, by

,,W miłości płomienny,
,,W ofierze niezmienny,
,,Rozgrzewał zapałem niebieskim swój lud;
,,Przez miłość, ofiarę
,,Rozrzucał w świat wiarę,
,,Bo wielki, szlachetny, anielski to trud.''

Publiczność zgromadzona wszystkie numera wieczorka skwapliwie oklaskiwała; ale bodaj najwięcej małą farsą p. t. ,,Staroświecki chłop, żydek i nowomodny socjalista,'' w której żydek okazuje się wielkim wielbicielem Salezjanów za ich wieczorki, prymicje i t. p., nastręczające mu liczne grono klijentów w handelku; natomiast socjalista, z zasady nieprzyjaciel wszelkiego obskurantyzmu, potępia Salezjanów, za co z pompą zostaje wyrzucony za drzwi z domu zacnego, staroświeckiego chłopa.

LONDYN. — Poświęcenie obrazu głównego ołtarza w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej i Świętego Kazimierza.

Otrzymujemy od jednego z naszych rodaków następujące sprawozdanie z uroczystości poświęcenia obrazu Matki Boskiej, któremu chętnie dajemy miejsce w łamach ,,Wiadomości.''

Dnia 4. października, w niedzielę Różańcową, obchodzono w tutejszej naszej misji polskiej wspaniałą uroczystość, która pozostanie długo w pamięci zamieszkałych tutaj emigrantów polskich: poświęcenie obrazu, przedstawiającego najmilszą naszą Matkę Boską Częstochowską, Królową Korony Polskiej. Uroczystego aktu dokonał czcigodny ks. Macey, prowincjał ks. Salezjanów, którzy z prawdziwem poświęceniem i zaparciem siebie opiekują się tutejszą misją, przez co potrafili w krótkim stosunkowo czasie zjednać sobie miłość i zaufanie wszystkich tutejszych emigrantów.

Podczas obrzędów poświęcenia chór naszych rodaków, nieliczny wprawdzie, ale zato wzorowo kierowany przez p. Tadeusza Grzybowskiego, odśpiewał z prawdziwym artyzmem kilka pięknych naszych pieśni ku czci Przeczystej Boga-Rodzicy.

Po akcie poświęcenia rozpoczęła się uroczysta suma, którą celebrował wyżej wzmiankowany przew. ks. Macey w otoczeniu dość licznego kleru.

W czasie sumy wygłosił wiel. ks. Proboszcz bardzo piękne kazanie o czci i nabożeństwie do niebios Królowej, sławiąc cuda i dobrodziejstwa, jakie świadczyła i ustawicznie świadczy utrapionej ludzkości wszędzie, a mianowicie w świątyni cudami słynącej na Jasnej Górze Częstochowskiej. Po południu o godzinie 6ej odprawiono uroczyste nieszpory z asystą, po których inny Salezjanin-Polak, ks. Solarz wygłosił kazanie na tle Objawienia św. Jana, wyjaśniając znaczenie dwunastu gwiazd okalających głowę Królowej Niebieskiej. Po nieszporach odprawiła się bardzo piękna procesja w obrębie kościoła, poczem odśpiewano uroczyste *Te Deum*, na podziękowanie za rozliczne dobrodziejstwa wyświadczone tutejszej misji polskiej za przyczyną Najśw. Marji Panny i udzielono błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem; tak zakończyła się ta piękna, a nam wygnańcom tak droga uroczystość, która z pewnością długo pozostanie w pamięci i sercu wszystkich uczestników.



Wychowankowie Kaplicy świątecznej Marji Wspomożycielki w Rzymie.

RZYM. — Kaplica świąteczna Marji Oswobodzicielki. — Kwitnąca ta *Kaplica świąteczna*, która mimo swego zaledwie kilkumiesięcznego istnienia, rokuje najpiękniejsze nadzieje na przyszłość w kierunku odnowienia ducha pobożności i dobrych obyczajów, obchodziła 26. lipca z wielką okazałością uroczytość Patrona młodzieży, św. Alojzego

Gonzagi. Podwórko zdobne w różnokolorowe festony, rozwieszone przez samychże chłopców, powiewanie chorągiewek z okien, a zwłaszcza daleko rozlegające się okrzyki radości trzechset chłopców, pociągnęły wielką rzeszę ludu do *Kaplicy*, gdzie J. E. ks. Kardynał Kazimierz Gennari odprawił mszę św. i udzielił licznym uczestnikom Komunji św., do której kilku dorosłych przystąpiło po raz pierwszy. Upał prawdziwie lipcowy nie przeszkodził dostojnemu książęciu Kościoła wypowiedzieć kilka serdecznych, ojcowskich słów do chłopięcej rzeszy, ściskającej się w ciasnej kaplicy; następnie udzielił licznym chłopcom sakramentu bierzmowania.

Po skończonem nabożeństwie rozdano chłopcom obfite śniadanie ku powszechnej radości matulek i krewnych tamże obecnych, a kółko młodzieży *Marji Oswobodzicielki* wręczyło tymczasem zacnemu kawalerowi Romanowi Santiniemu, prezydentowi obchodu, w obecności J. E. ks. Kardynała, pięknie udałą fotografię, jako zadatek wdzięczności za poniesione trudy przy założeniu niniejszej instytucji.

Po południu inna rozrywka przynęciła tłumy ludu do *Kaplicy świątecznej*. Na podniosłym tronie, nad którym widniała ojcowska postać wiel. ks. Bosko, zasiadł J. E. ks. kardynał Martinelli, aby przewodniczyć publicznemu rozdawaniu nagród uczniom *Szkoły Papieskiej*.

Odgłos bębnów skierował uwagę publiczności w głąb podwórza, skąd w świetnym kostjumie gimnastycznym wysuwali się naprzód do pierwszego popisu dziarscy i krzepcy członkowie oddziału gimnastycznego « *Excelsior* » założonego w maju t. r. z grona chłopców uczęszczających do *Kaplicy*. Grzmotem oklasków i okrzyków powitano dzielnych chłopców, pełnych życia i zapału, którzy w przeprowadzeniu swojego programu zasłużyli na najlepszą pochwałę. Ks. Munerati, Salezjanin, w płomiennej mowie winszował chłopcom ich postępów, ciesząc się, iż tak rozumnie umieją łączyć rozwój fizyczny z umysłowym i moralnym. Po kilku śpiewach i odpowiednich deklamacjach przystąpiono do rozdania nagród, poczem J. E. słowami pochwały i zachęty dla działalności synów ks. Bosko śród młodzieży tej dzielnicy rzymskiej zamknął posiedzenie.

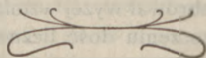
CHIERI. — Kaplica świąteczna Św. Alojzego. — 23. sierpnia obchodzono uroczystość św. Alojzego Gonzagi, na które przybył ks. dr. Franciszek Cerruti, generalny kierownik szkół Salezjańskich. Młodzież *Kaplicy* wczesnym rankiem spełniła obowiązek chrześcijański, przystępując do Stołu Pańskiego, podczas gdy na modlącą się gromadkę młodzieży spływały z chóru rzewne melodje śpiewu kościelnego, wykonanego przez młodą «*Schola Cantorum*». Po mszy św. rozdano skromne śniadanie, co posłużyło znakomicie do ożywienia rekreacji aż do samego południa.

Po południu młodzież zgromadziła się raz jeszcze w kościółku, aby wysłuchać kazania o św. Alojzym, które wygłosił wiel. ks. Torta, porywając swych młodych słuchaczów słowem pełnem ognia i serdecznej prostoty. Nastąpiło błogosławieństwo Przenajświętszym, poczem wszyscy uczestnicy udali się do sali przedstawień, aby być obecnymi przy rozdawaniu nagród.



Kółko gimnastyczne « Leo »
złożone z chłopców uczęszczających do Kaplicy świątecznej w Chieri.

Tymczasem na podwórku kółko gimnastyczne *Leo* przygotowało się do popisów. Przy dźwiękach skocznych kawałków, pod pogodnem sklepieniem lazurowego nieba, wykonali młodzi atleci szereg ćwiczeń: plutonowych, wolnych, z laskami francuskiemi, na drążku, na porączkach i t. d., a wszystko z taką dokładnością, tak punktualnie w takt muzyki, że licznie zebrana publiczność kilkakrotnie i z prawdziwym entuzjazmem oklaskiwała niektóre występy.



Uroczysty wjazd ks. bisk. Jana Cagliero do S. José (Costaricca).

(Według « Osservatore Romano »).

Skoro tylko parowiec *Antonio Lopez*, który przywiózł ks. biskupa Cagliero, nowego Delegata Apostolskiego do Kostaryki, zarzucił most portowy, wszedł na pokład ks. biskup Kasper Stork, biskup Kostaryki, z swym sekretarzem, z dwoma kanonikami w zastępstwie kapituły katedralnej, z ks. prałatem Monestelem i z podsekretarzem ministerstwa spraw zagranicznych, który przywitał ks. Biskupa w imieniu rządu.

W porcie czekali na Biskupa: gubernator z *Puerto Limón*, wiceprezydent parlamentu, gubernator kartagiński, administrator ceł i wiele osób duchownych i świeckich.

Gdy Biskup, delegat stanął na ziemi kostaryckiej, dzwony wszystkich kościołów ozwały się dźwiękiem radości, a zgromadzone rzesze powitały dygnitarza kościelnego frenetycznymi oklaskami.

Po krótkiem śniadaniu, danem przez podsekretarza ministerstwa spraw zewnętrznych, wstąpił ks. bisk. Cagliero z swoją świtą do pociągu, naumyślnie w tym celu wystawionego przez rząd kostarycki.

Koło 12-ej dano sygnał do odjazdu ku stolicy.

W wszystkich miejscowościach, przez które przejeżdżał pociąg, wiozący dostojnych podróżnych, wielkie tłumy ludu oblegały dworce kolejowe witając oklaskami przejeżdżającego Delegata Apostolskiego.

O 6-ej wieczorem biskup Cagliero z dwoma sekretarzami i całą świtą zawitał do S. José.

Zbita masa ludu czekała na dworcu, aby oddać hołd uszanowania Posłańcowi papieskiemu.

Z trudem wielkim i tylko przy pomocy wojska zdołał orszak biskupi przedostać się przez tłumy do powozu, który prezydent oddał do dyspozycji ks. Biskupowi.

W nim zajął miejsce ks. Biskup z reprezentantem rządu, podczas gdy reszta orszaku biskupiego wsiadła do drugich powozów.

Powoli, śród dwóch zbitych fal ludu, posuwały się powozy ku katedrze, podczas gdy tłum wynurzał swoją radość i swoje uczucia religijne niekończącymi się okrzykami na cześć Zbawiciela, Papieża i jego Delegata.

Facjata i wielki przedsionek były wspaniale ozdobione trofeami, złożonymi z horągwi pięciu stanów Ameryki Środkowej i horągwi papieskiej.

Gdy orszak wszedł do prezbyterjum, gdzie stała ustawiona w porządku ceremonialnym kapituła katedralna z klerem i reprezentacją świecką, zaintonowano uroczyste *Te Deum*.

Następnie ks. bisk. Cagliero usiadł na tronie po prawej ręce biskupa dyecezjalnego, a wikarjusz generalny dyecezji w imieniu obecnych gości i zgromadzonego ludu, odczytał adres tchnący gorącą i synowską miłością ku Ojcu św., który przysłaniem swojego Delegata, dał nowy dowód troskliwości prawdziwie ojcowskiej nad rzeczplitą kostarycką.

Delegat papieski ks. bisk. Cagliero w odpowiedzi swojej podziękował duchowieństwu i rządowi za wspaniałe przyjęcie zgotowane jego osobie, przedstawiającej Najwyższego Kapłana, i w jego imieniu udzielił apostolskiego błogosławieństwa.

Dnia następnego Delegat wedle utartego zwyczaju posłał do ministerstwa spraw zagranicznych zawiadomienie o swojem przybyciu, prosząc o posłuchanie celem oznaczenia dnia i formalności wręczenia pism uwierzytelniających.

Krótko potem nadeszła od ministerstwa nota, w której żądane posłuchanie zostało ustanowione na dzień następny o godz. 3. po południu.

Istotnie w oznaczonej porze powóz prezydenta zawiózł bisk. Cagliero do pałacu rządowego.

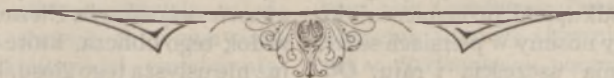
Rozmowa z ministrem była nadzwyczaj serdeczna. Następnego dnia minister przybył oddać wizytę powitalną Delegatowi papieskiemu, zawiadamiając go przytem, że dzień wręczenia listów uwierzytelniających przeznaczono na 18 września.

Wręczenie odbyło się jak następuje: Podsekretarz ministerstwa spraw zagranicznych przybył powozem galowym po Delegata Apostolskiego i jego świtę. W atrjum pałacu rządowego oddawała honory jedna kompania gwardji, wiele wysokich urzędników i wybitnych osobistości.

W sali audjencyjnej czekał na ks. Cagliero Prezydent rzeczyplitej, otoczony ministrami.

Delegat papieski odczytał mowę, w której wyraził Prezydentowi przyjaźń Ojca św. do rzeczyplitej Kostaryckiej.

Prezydent w odpowiedzi zaznaczył, że dobroć Ojca św. jest dla niego zaszczytem i wyraził uczucia wdzięczności w imieniu wszystkiego ludu kostaryckiego.



MISJE SALEZJAŃSKIE

Gdy niniejszy numer « Wiadomości » dojdzie do rąk naszych Pomocników, spora liczba nowych misjonarzy Salezjańskich będzie się znajdowała na pełnem morzu, w drodze do swych misji. Polecamy ich wszystkich gorąco modlitwom naszych Czytelników, aby, jak po inne lata, mogli i tym razem dostać się szczęśliwie na miejsce swego przeznaczenia a następnie wspierać skutecznie starszych braci w pracy misyjnej.

Ostatnia Wola Jezusowa.

Podczas drugiej wędrówki misyjnej miał św. Paweł takie widzenie: Stanął przed nim mąż macedończyk i prosił go usilnie: « Zstąp do Macedonji i pomóż nam ».

Jak ten pogański mąż do Apostoła narodów, tak cały świat pogański wyciąga ręce do nas chrześcijan i woła: « Przybądźcie do nas i pomóżcie nam! »

« Wy żyjecie tak szczęśliwie w słonecznej jasności prawdziwej wiary, a my błądzimy w opłakanych ciemnościach ducha.

« Wy zażywacie złotej wolności chrześcijańskich praw, obyczajów i nauk, a my dźwigamy na duszy i na ciele ciężkie kajdany niewoli.

« Wy jesteście tak bogatymi w tysiączne błogosławieństwa niebieskie, u nas wszędzie przekleństwo, wina i śmierć.

« Wy czerpiecie dowoli z źródeł Zbawiciela, podczas gdy nasza dusza umiera z głodu.

« Pełni kojącej nadziei wznosicie wzrok wasz ponad boleść i grób ku niebieskiej ojczyźnie, a my? ach jesteśmy nędzni za życia, a nędzniejsi przy śmierci.

« A przecież i my jesteśmy nieśmiertelnymi; i my krwią Jezusową odkupieni, przeznaczeni do chwały niebieskiej, i my nosimy w piersiach serce usychające z pragnienia szczęścia i raju. Od was to, szczęśliwi chrześcijanie, od was jedynie może się nam dostać pomoc! Spieszcież tedy i ratujcie nas!

Jak się mamy zachować wobec tego wołania pogan? Odpowiedź na to pytanie daje nam sam P. Jezus: « *Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody.* » Są to ostatnie słowa Jezusowe; niemi św. Mateusz zamyka swoją Ewangelję.

« Idąc nauczajcie wszystkie narody ».

Mamy tu przed sobą ostatnie słowo Jezusowe. Jeszcze po zamknięciu księgi św. Ewangelji brzmi ono w naszych uszach i odbija się echem w naszem sercu. My nie możemy być głuchymi wobec niego, nie możemy i niechcemy go zapomnieć nigdy.

Ostatnie słowo Jezusa powinno dla nas być najwyższej wagi. Prawda, wszystko co On wyrzekł, jest dla nas ważnem i świętem; ale szacunek i miłość nakazują nam wyryć ostatnie Jego słowa głębiej w naszych sercach. Z jakąż to czcią przechowujemy w sercu słowa, które wyszły z dogorywających ust drogiej nam osoby! Jakże często powtarzamy je w naszych rozmowach. Uważamy je za skarb drogocenny i strzeżemy ich przed zapomnieniem. Wydawają nam się jakby coś świętego, nienaruszalnego. Szanujemy je i czuwamy nad tem, aby je spełniono. Obojętność względem nich uchodzi za barbarzyństwo, pogwałcenie ich — za świętokradztwo.

Jeżeli same słowa i ostatnie rozporządzenia ukochanych bliźnich tak nam są drogie, o ileż droższemi muszą nam być pożegnalne słowa Tego, który nam jest więcej niż ojcem lub matką?

Idźmy z uczniami Boskiego Mistrza na górę Oliwną w dzień Jego wniebowstąpienia, a będziemy świadkami najczulszego pożegnania, jakie kiedy miało miejsce na ziemi. Zbawiciel nasz Jezus Chrystus opuszcza swoich, których ukochał i których kocha więcej niż własne życie. Prawda — przyrzekł im Ducha św., który ich wzmocni i pocieszy; prawda, że On sam będzie w niewidzialny sposób śród nich przebywał i, jako wszechmocny Duch Opiekuńczy, wspierał ich w walce, którą mają stoczyć na ziemi; ale prawdą niemniej jest, że « *jeszcze chwileczka, a nie ujrzecie mię więcej* ». Niezadługo ma im być odjęty widok tego oblicza, które jest rozkoszą aniołów; już nie usłyszą tego głosu, który wskrzeszał umarłych i w tyle serc skołatanych wlał łaskę i pokój

niebieski. Wybiła godzina pożegnania, a cicha boleść rozłąki ścisnęła każde serce — tam na pagórku jerozolimskim.

Pan Jezus opuszcza ostatnie spojrzenie na swoją ukochaną trzódkę, złączoną z nim wiarą, nadzieją i miłością. Gdyby Mu Jego wszechwiedza nie odkryła ich myśli, toby z oczu ich wyczytał, co się w onej chwili działo w ich sercach. To chwila pożegnania — opadają wszelkie zapory, a miłość występuje na jaw w sposób niekrępowany.

Uczniowie podnoszą oczekujące spojrzenie na Boskiego Mistrza. Oni wiedzą, że teraz do nich przemówi — po raz ostatni! Nigdy nie byli tak nastrojeni do przyjęcia Jezusowej nauki, jak w tej godzinie. Ich serca, niby relikwiarze stoją otworem, aby zamknąć w sobie niepostradalnie ostatnie słowa Pana.

Ale cóż im Zbawiciel jeszcze powie? Najrozmaitsze myśli cisną się przemocą do Jego kochającego Serca, ale tylko najważniejsza z nich i najbardziej nagląca wystąpi na zewnątrz w tej uroczystej chwili. On wypowie słowo tak brzemienne w znaczenie, jakie tylko Jego Boskie usta wyrzec mogą, słowo, które streści w sobie w sposób najgodniejszy wszystek cel Jego ziemskiego życia, a dla pięciuset uczniów, spadkobierców Jego królestwa, będzie i pozostanie programem życia, zapatrywań i działalności.

A podniósłszy rękę, rzekł: Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha św., nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Słowa te wypowiedziane z podbijającą pewnością i majestatem, otrzymały nieomylną pieczęć swego Boskiego pochodzenia przez cudowne w niebo-wstąpienie. Uczniowie są świadkami tego cudu, a podczas gdy wpatrują się nieruchomem okiem w znikającego Mistrza, wewnątrz porywa ich i wstrząsa nimi to przekonanie, iż Ten, co tam nad całym światem własną mocą wznosi się ku niebiosom, miał władzę i prawo im powiedzieć: *Dana mi jest wszystka moc na niebie i na ziemi.* Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody i chrzcijcie je. Takie słowa, z takich ust i w takich okolicznościach wypowiedziane, a zostawione jako testament, jakże głęboko musiały utkwić w sercach uczniów, jeżeli nawet na nas samych, co nie mamy tego szczęścia słyszeć je wymawiane śród wstrząsających okoliczności wniebowstąpienia, czynią wrażenie wielkości Boskiej, skoro tylko próbujemy zrozumieć całą ich doniosłość.

MATTO GROSSO

(BRAZYLJA).

Pomyślna wyprawa wywiadowcza ku brzegom Rio Vermelho.

(*List ks. Jana Balzoli do Jego Ekscellencji prezydenta Stanu, p. pułkownika Generoso Paes de Souza Ponce*).

Kujaba, Szkoły Zawodowe Salezjańskie,
4. sierpnia 1908 r.

Ekscellencjo!

Stosownie do przyjętego zobowiązania zdaję relację z wyprawy, jaką z polecenia W. E. wykonałem ku szałasom bororskim na brzegach *Rio Vermelho*, najgłówniejszego dopływu rzeki *Św. Wawrzyńca*.

Jak swego czasu doniósł W. E. wiel. ks. Emanuel G. d'Oliveira, zastępca przewiel. ks. Antoniego Malana, inspektora misji Salezjańskich tego Stanu, wyjechałem z Kujaby 12 maja b. r. w towarzystwie salezjanina Sekundusa Bussiego, Eliasza Galvao, borora Moraesa, przeze mnie ochrzczonego w 1897 r., p. Ludwika Rodrigueza Estevesa jako przewodnika, prowadząc z sobą kilka zwierząt jucznych obładowanych podarunkami, których mi dostarczył z polecenia W. E. p. pułkownik Henryk Vieira, dyrektor generalny Indjan tego Stanu.

W *Palmeiras* zaczekałem na przybycie mulic, które nas miały przenieść do miejscowości zwanej *Brilhante*, dokąd przybyłem 21. maja.

W pobliżu tej dość rozwiniętej osady, przyszło do ostatniego starcia z gromadą indjan bororskich i ku mej najgłębszej boleści wypadło mi pogrzebać 3 indjan pobitych w tej potyczce.

Indjanom, co przybyli razem z nami odebrać napowrót rzeczy, od których musieli uciekać, radziłem, żeby pozostali spokojnie na swoich urodzajnych posiadłościach i dałem im wzkazówki, jak się mają sprawować, żeby w przyszłości uniknąć starć z dzikimi; wytłumaczyłem im również jak najwyraźniej, że udajemy się do środkowych *aldei*, aby przekonać indjan o konieczności porozumienia się prawnego z cywilizowanymi.

22-go podążyliśmy dalej dotykając mimochodem ruin *Correntezy*. Tutaj miał miejsce fatalny wypadek dnia 23. stycznia t. r., który się ponowił w *Brilhante* na początku kwietnia i zakończył śmiercią kilku Bororów.

* *

Przeszedłszy gęste bory drogami powozowemi, które wycięli spokojni a pracowici mieszkańcy Goyazu, dotarłem do rzeki Św. Wawrzyńca i spostrzegłem świeże ślady pochodu indjan, którzy mieli rozbite namioty w pobliżu strumyka *Pogubborereu-Areia*.

24-go (święto Marji Wspomożycielki) przyszliśmy do miejscowości zwanej *Bôa-Vista* (*Piękny Widok*). Nazajutrz śród wielkich trudności dla braku dróg, dotarliśmy do *aldei* czyli wioszczyny *Noidduguru-uarareu*, gdzie się rozmówiłem z kacykami *Candido*, *Mariano*, *Barros*, *Duarte* i *Rodriguez*, którym też powiedziałem, żeby nazajutrz zwołali jak największą liczbę Bororów z tej *aldei*. Dnia następnego, 26. maja, po odprawieniu mszy św., przemówiłem do nich po bororsku, wytłumaczyłem im powód mego zjawienia się u nich, każąc im się zastanowić nad tem, że to za zrządzeniem Bożem przybyłem aż do nich, aby ich zaprosić w imieniu W. E. do zgodnego pożycia z cywilizowanymi, którzy odtąd nie uczynią im nic złego, jeżeli się będą zachowywali jak przystało na ludzi uczciwych. Nalegałem, aby przywołali także kacyka *André*'go, i jego szajkę, którego się tu powszechnie uważa za organizatora podobnych grabieży, i skłonili go do osiedlenia się na stałe w aldei i zaprzestania napadów na siedziby burytyckie, inaczej będzie wzięty do niewoli przez żołnierzy wysłanych od *wielkiego kacyka* (prezydenta Rzeczyplitej).

Przyobiecali spełnić me zlecenia, a ja przed pożegnaniem w imieniu rządu rozdałem im płótna, husteczki, noże, wędki, powrózki i pionki do łowienia ryb. Naliczyłem 130 obecnych, a powiedziano mi, że kilka grup znajdowało się w owej chwili na łowach.

Puściwszy się dalej w kierunku *Jorigui*, pod przewodem jednego z miejscowych bororów, dostałem się także po 50 kilometrowej *pikadzie* t. j. pochodzie z toporkiem w ręku, aby rozprzestrzeniać wedle potrzeby wąskie ścieżki bororskie, którycheśmy się trzymali. Po przebyciu *Rio Vermelho* wstąpiliśmy do *aldei* złożonej z 22 szałasów, które zwiedziłem do ostatniego i naliczyłem w nich koło 200 dzikich.

Rozmówiłem się z głośnym *Perigo* (alias Pericolo) i z *Piloto*, którym oznajmiłem cel mojej wyprawy i zaprosiłem ich, aby nazajutrz przybyli z wszystkimi swoimi podwładnymi na mszę św. Stawili się rzeczywiście i przy tej okazji przemówiłem do wszystkich, polecając im, aby porzucili życie koczownicze, a zaczęli żyć na sposób chrześcijan, a mianowicie, aby zaprzestali napaści na cywilizowanych i powtórzyłem rady i przestrogi dane w *aldei* poprzednio zwiedzonej. Naliczyłem obecnych 149 indjan, a 50 miało się znajdować na polowaniu. I tutaj podzieliłem część podarunków. Wszystkim była przyjemną chojność rządu i *wielkiego kacyka* (p. Prezydenta) i obiecali trzymać się danej im instrukcji.

Z powrotem napotkałem różne grupy indjan; koło *Tribuiau*, skąd skierowaliśmy się ku *Cogueau* i *Arojari*, naliczyłem ich 27. Przeszedłszy rzeczkę *Arareiau* i pasmo gór *Naboreri*, 31. maja przybyliśmy do wioszczyny *Cougueau*, gdzie znalazłem 21 *ranchos* (szałasów) i wielki *bahito* (namiot zgromadzeń). Obliczyłem, że indjan mogło w nich mieszkać jakie 200. Pierwszego czerwca zwiedziłem *Arojari*, a indjanom rozdałem resztę podarunków i wytłumaczyłem, jak wyżej, powód mej podróży.

Aż dotąd rozciąga się zakres naszego działania śród Bororów górnego biegu rzeki *Św. Wawrzyńca*. Punkt ten jest odległy 420 km. od Kujaby.

Z powrotem odwiedziłem różne osobistości, między któremi senatora p. Józefa Pereirę Borgesa, ablegata policyjnego, mieszkającego w *Burity;* wszyscy okazują największą wdzięczność za troskliwość rządu W. E. o dobrobyt i spokój tych stref kwitnących, dla których uśmiecha się najpiękniejsza przyszłość. Powróciłem do Kujaby 15. czerwca przebiegłszy 866 km. drogi.

Ekscellencjo! w tej podróży, uwieńczonej za pomocą Bożą najlepszym wynikiem, mogłem łatwo poznać, że smutne wypadki, jakie się wywiązały z wycieczek nieszczęśliwych indjan w miejscowości *Brilhante* i gdzieindziej, mają swoją przyczynę w tem, że osadnicy nie umieją obchodzić się jak należy z biednymi indjanami. Bo istotnie inne osady cywilizowanych, posunięte o wiele bardziej w głąb ku środowiskom bororskim, które zwiedziłem osobiście, utrzymują się w kwitnącym stanie.

Taksamo spodziewam się, stanę na jednym gruncie z Waszą Ekscellencją, utrzymując, że jest nieodzowną koniecznością założenie nowej kolonji, nie tyle dla obrony zagrożonych, ile raczej celem uobyczajenia tych nieszczęśliwych naszych braci mattogroskich.

Nakoniec uważam za swój obowiązek podziękować W. E. za nieograniczone zaufanie położone w prostym synu X. Bosko, który od 13 lat pracuje w tej misji i niczego bardziej nie wygląda, jak jutrzenki tego pięknego dnia, w którym światło cywilizacji będzie mogło spływać swobodnie na wszystkich Bororów zamieszkujących wielką część puszcz mattogroskich.

Niechaj Bóg błogosławi i strzeże Waszą Ekscellencję!

Ks. Jan Balzola,
Misjonarz Salezjański.

MOZAMBIK

(AFRYKA WSCHODNIA).

Chrzest 4 murzynków. — Projekt nowej misji.

(List ks. Marcina Recalcati'ego).

Mozambik, 1. lipca 1908 r.

Najlepszy Ojcze!

Nasamprzód pośpieszam z wiadomością, która niezawodnie wielce ucieszy najdroższego Ojca. Było to 26. czerwca, w uroczystość Najśw. Serca Jezusowego; cała przyroda zapraszała do święcenia tego dnia jak najuroczyściej. Od samego początku swego urzędu ks. Dyrektor polecał wszystkim sierotkom jak najusilniej to nabożeństwo, które się też w nich objawiało zawsze, ale w szczególniejszy sposób w pierwszy piątek każdego miesiąca. Toż nie dziw, że uroczystość główna ku czci Najsł. Serca była dla nich dniem bardzo pożądanym.

Rano tego dnia czterech naszych wychowanków przyjęło sakrament chrztu św. Są to chłopcy między 12 a 14 rokiem życia, pierwsze kwiatki, jakie Salezjanie mozambiccy mogą ofiarować Najsł. Sercu Jezusowemu. Jednemu dano imię Jana Bosko, z wdzięczności ku wielebnemu Ojcu naszemu za to, co dla nas uczynił i co z pewnością nadal dla nas czyni z nieba. Drugiemu dano imię Michała Ruy. Jak można było zapomnieć o Tym, który tak godnie, tak święcie podjął spadek po wielebnym Ojcu. Tak, drogi Ojcze, na tej ziemi, która dotąd jeszcze nosi na sobie skutki swego przekleństwa, piękny murzynek będzie odtąd nosił Twoje imię.

Tego samego dnia 12 innych chłopców przystąpiło do pierwszej komunii św., a po południu otrzymali sakrament bierzmowania. Jak widzisz, drogi Ojcze, Najsł. Serce Jezusowe obficie nam błogosławi. O niechajże nie przestaje i nadal nam błogosławić, gdyż bardzo a bardzo potrzebujemy Jego wsparcia.

Jeszcze inna wiadomość. Nasz gorliwy ks. biskup zamierza nadać większy rozwój naszym szkołom; jest rzeczą konieczną, twierdzi słusznie dostojny arcypasterz, aby stanęła druga misja z osadą rolniczą, gdzieby chłopcy niezdolni do nauki lub rzemiosła, mogli spokojnie, pod kierownictwem misjonarza, uprawiać swój skrawek ziemi i nie być wystawieni na niebezpieczeństwo utraty tego, co sobie dotychczas w misji przyswoili jak to bardzo łatwo zdarza się w tych okolicach, gdzie « *mogne* » arabowie mahometańscy, robią na każdym kroku bezwzględną konkurencję katolikom. Wciskają się wszędzie ze swoimi towarami i najniższemi oszczerstwami spotwarzają katolików w oczach murzynów. Niestety, winę ponoszą tutaj europejczycy, głosząc religię, która schlebia ich ślizkim obyczajom, wskutek czego bardzo łatwo oszukać takiego biednego murzyna i przejąć go odrazą i nienawiścią do jedynie prawdziwej i świętej religji, którą mu słowem i przykładem, kłamstwem i oszczerstwem przedstawiono jako coś monstrualnego. Otóż zamiarem Biskupa jest położyć tamę temu prądowi piekielnemu i uratować dla wiary przynajmniej tych, co ją już przyjęli i ich przyszłe rodziny. Więc w tych dniach ks. Biskup wraz z ks. Dyrektorem i piszącym puścili się statkiem do zatoki Moszellia, nad którą wznosi się mała warownia otoczona chatkami. Tam zamierza ks. Biskup urządzić drugą osadę misyjną. Przez trzy dni zwiedzaliśmy okolice w towarzystwie kilku żołnieży, których nam dowódzca warowni przydał dla bezpieczeństwa przeciw lwom, tygrysom i lampartom, które tu szybują z całą swobodą. Nigdy w życiu nie widziałem obszarów tak rozległych, z tak dziką i tak bujną roślinnością. Drzewa olbrzymie z najsmaczniejszymi owocami, jako to *mangas*, *kokos*, *banapos* i t. p. nieprzejrzane łany o trawie tak wysokiej, że kryje jeźdźców, leżą bez wszelkiej opieki i uprawy. Co za obfitość darów Bożych, a nikt o nie nie dba!

Upatrzyliśmy rozległy teren w pobliżu rzeki « *Monapu* », który dla mnie będzie pamiętny, bo chcąc go przebyć w bród, wsparty silnymi ramiony dwóch murzynów, wskutek pośliznięcia jednego z nich wpadłem do wody i wziąłem pierwszą kąpiel afrykańską. Obecnie ks. Biskup czyni starania u rządu celem uzyskania ziemi i środków a niezadługo się tam osiedlimy, jeżeli nam drogi ojciec przyśle jakiego dobrego braciszka. Tak przy pomocy Bożej i my będziemy mogli coś więcej zdziałać.

Tymczasem niech kochany Ojciec o nas nie zapomina, niech raczy przyjąć ukłony od wszystkich, nie wyjmując swego imiennika Michałka i niech nam przyśle szczególniejsze swoje błogosławieństwo.

Całem sercem oddany w Chr. P.

Ks. Marcin Recalcati.

Szczep Bororski (Bororos).

(Studjum ks. Antoniego Malana).

III.

(Część I. i II. patrz Wiadomości kwietniowe, lipcowe i wrześniowe r. 1907).

TREŚĆ: *Najwyższy bair. — Podrzędni bairowie. — Przy urodzeniu indjanina. — Obrzędy weselne. — Rozwód. — Powody śmierci i złe wróż-*

by. — Leczenie chorych. — Przy śmierci indjanina. — Pogrzeb. — Żałobne bakurúrúrú. — Płacz i narzekanie. — Ich cierpienia. — Miejsce pobytu Aroesów. — Ich urząd. — Ojczyzna dusz Bororo-Koroadów.

Najwyższy Bair.

Jego powołanie. — Jeżeli jaki dziki jest przeznaczony do rzeczy niewidzialnych, to w 16-tym mniej więcej roku poczyna uczuwać w sobie działanie bogów, którzy sprawiają, że mu się udaje dokonać czegoś nadzwyczajnego w swoich wyprawach na wybrzeża rzek, jezior lub bagnisk, znajdujących się w pobliżu jego wioski.

Siedząc na piasku, powtarza pieśni, których się był nauczył od zmarłego baira i wieczorem, gdy cichnie śpiew ptasząt, a gwiazda świetlista znikła z widnokręgu, wraca głęboko zamyślony do swej nędznej chaty.



Najwyższy bair.

Paziowie i kacyki zauważywszy, iż młody indjanin często się ulatnia od towarzystwa, poczynają pilnie śledzić jego czynności, a poznawszy do czego one zmierzają, dawają o tem znać swoim podwładnym, którzy odtąd poczynają młodego Borora traktować z wielkiem uszanowaniem, z wielkimi względami jako przyszłego najwyższego baira.

Tymczasem młodzieniec, całkiem opanowany przez duchów, tęskni za samotnością i niespodzianie bywa przeniesiony w głąb lasów, i tam sam na sam jest świadkiem objawień Bopa, Marebby i Tupy. Z rozkoszą zatrzymuje się z temi bóstwami na poufałej rozmowie o czarach i o różnych gatunkach duchów. Codzień bywa podniesiony do poszczególnych niebios, gdzie duchy z wysokości swej chwały napełniają go wiedzą, ucząc go tajemnic natury i życia, wyjaśniając mu tajemnice jego religii, zapoznawając go z prawami i mówiąc mu wyraźnie, że jest powołany na najwyższego naczelnika szczepu.

Po czterech księżycach (przeciąg czasu potrzebny do zupełnego wyrobienia nowego arcykapłana i naczelnika) młodzieniec wraca do swej wioski, gdzie śród szalonych objawów radości bywa witany i ogłoszony *aroe-torari* przez drugorzędnych bairów i przez kacyków, którzy z wszystkimi wojownikami składają broń u jego stóp, przysięgając mu wierność i przyrzekając pomoc i obronę.

Jego urząd. — Najwyższy bair staje się zatem królem i kapłanem, lekarzem, nauczycielem i najwyższym sędzią, panem żywiołów przyrody, mający także upoważnienie dawać imię noworodkom i spełniać obrzędy tradycyjne przy narodzeniu dzikiego. Władzą przewyższa Aroesów, Bopów, Marebbów i złych Haydżów; godnością równa się Baregom i dobrym Haydżom. Bogowie zjawiają się na jego wezwanie; on wypędza choroby i złe duchy z ciała; ma dar bilokacji (jednoczesnego przebywania w dwóch różnych, oddalonych od siebie miejscach) ogniem z nieba razi swoich wrogów i zsyła śmierć na występnych dzikich. Niedostępny dla nędz i chorób tego życia, posiada wszechmocną potęgę bogów i, jakby to jeszcze nie wystarczało, ma nadto stosunki z Bopami i Marebbami mieszkającymi w 6. niebie i z tymi, co mieszkają w niższych niebach z Baregami, Tupadogami i z Jestestwem nieznanem (Tupà). Znosi się bezpośrednio z pierwszymi, pośrednio zaś z ostatnimi; ze złymi duchami nie ma żadnej styczności, chyba w wypadkach egzorcyzmu.

Jego zachwycenia. — Gdy najwyższy bair zakosztował w swoich zachwytach rozkoszy niebieskich, tak się do nich zapala, że pozostałby w nich całe życie i musi w ciągu dnia szukać sposobu, żeby się rozerwać. W nocy zaś, ukołysany sennemi marzeniami, buja po niezmierzonych stropach niebieskich i z ich wyżyn przenika serca ludzkie, sumienia niższych bairów, zwiedza swych kolegów z 9go nieba i w ich towarzystwie spędza chwile rajskie. Ztamtąd Baregowie prowadzą go aż do nieba *Jestestwa* nieznanego a następnie do głębokości ziemskich, do miejsca pobytu Aroesów (nieboszczyków swego szczepu), których opatruje i pociesza.

Niegdyś Aroesi, taksamo jak bogowie, nie pokazywali się indjanom, wskutek czego nie wierzono w nieśmiertelność duszy. Teraz atoli jest to pewnikiem powszechnie przyjętym po tylokrotnem pokazaniu się Aroesów, (którzy z pewnością będą szatanami w postaci umarłyh).

Zachwycenie kończy się ze świtem.

Ich dusza, według systemu filozoficznego bairów, jest materjalną, gdyż mówią, że opuściwszy Aroesów o świcie, wraca do swego ciała dopiero gdy słońce już jest wysoko na niebie, jak gdyby duchowi był potrzebny czas do przebycia przestrzeni.

Po zachwyceniu, bair znużony i wycieńczony wije się w kurczach, jak gdyby chciał wyrzucić z siebie duszę.

Bairowie podrzędni.

Ich powołanie. — Gdy się zdarzy, że w jakiej wioszczynie wymrzą wszyscy naczelnicy, wtedy

najwyższy bair, Bopowie i Marebowie 5-go i 7-go nieba jak niemniej pierwordni Bopa i Mareby 8-go nieba przystępują do wyboru i wykształcenia bairów podrzędnych, którym udzielają władzy równającej się prawie władzy najwyższego baira. Podrzędni należą zazwyczaj do innych wioseczyn i udawają się do wykonywania swego zwierzchnictwa tylko z natchnienia i polecenia



Bair podrzędny.

bogów. Podczas podróży ich wiedza i ogólne wykształcenie bywa uzupełnione zachwytami.

Bair najwyższy miewa sobopólne widzenia z bairami podrzędnymi, tak iż jeżeli się zdarzy, że niektórzy z nich nie znają się osobiście, to tylko przypadkiem, już to z powodu zbyt wielkiej odległości, już to z innych powodów, ale po pierwszem spotkaniu stają się największymi i serdecznymi przyjaciołmi.

Ich przywileje. — Podrzędni bairowie są doradcami, ministrami, a czasem sędziami baira głównego. Oni stanowią o życiu i śmierci, o żywiołach przyrody i złych duchach; a z drugiej strony są lekarzami i nauczycielami, adwokatami, opiekunami i obrońcami swej religii, pośrednikami między bóstwem a ich szczepem, znachorami a przytem obdarzeni bilokacją t. j. mogą jednocześnie znajdować się w dwu różnych miejscach.

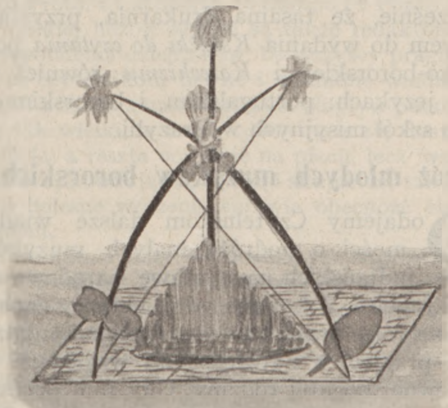
Za zgodą najwyższego baira urządzają obławy i przewodniczą bakúrurom i innym podobnym obrzędom. Znoszą się bezpośrednio z Bopami i Marebbami 5-go nieba, z pierworodnym potomkiem Tupy, z niebieskim Haydżem, z Baregami i Aroesami, jak również z Bopami i Marebami 7-go i 8-go nieba.

Nie czynią zaklęć chyba zmuszeni do tego w wypadkach choroby, poświęcają zebrania *mano* i *marido* i są zobowiązani pomagać najwyższemu Bairowi w zaklęciach przeciw Baregom i Aroesom, gdy ci zapalają się gniewem ku podwładnym sobie indjanom wskutek jakiego ich wybryku na ucztach.

Ich zachwycenia. — Każdej nocy bywają porywani do 5-go, 6-go i 9-go nieba, które zwiedzają szczegółowo; zstępują potem i zatrzymują się u Aroesów, aby ich pocieszać. Dopóki przebywają w niebiosach, mogą widzieć wszystko, co się dzieje na ziemi i przewidzieć przyszłość. Taksamo jak najwyższy bair, wracają z zachwycenia o świcie.

Przy narodzeniu indjanina.

Gdy się zbliżyła chwila porodu, jeden z niższych bairów zgromadza kilka śpiewaczek, które zaczynają spiewać radosny hymn dla ulgi chorej. Noworodek bywa witany wesołymi okrzykami mężczyzn, podczas gdy niewiasty wylewają rzęsiste łzy aż do ustąpienia słabości; wtenczas dopiero przystępują wszystkie do matki, aby jej złożyć powinszowanie. Z polecenia głównego baira niższy bair zwołuje i zaprasza całą gminę, aby mu towarzyszyła do nowonarodzonego dziecięcia, które niosą w procesji do bahytu (wielkiego namiotu publicznych zebrań), podczas gdy wszyscy śpiewają przeciągłym głosem. W namiocie znajduje się rozciągnięta skóra pomazana *urúkúłem*, na niej dwie *cabacas* czyli puste dynie, napełnione *urúkúłem* i smołą. w środku zaś dwa *bapos* (łuki) i *parico* (korona z piór zdobiących głowę indjanina) podtrzymywane *baragarą* czyli kończastą laską, zdobną na końcu w kolorowe pióra *ararasów*, *garcasów* i jastrzębi; opodal pali się mały ogień.



Bapos, parico i baragara.

Przyszedłszy do *bahytu*, matka składa niemowlę na skórze, a bair podaje mu mały łuk do zabawki i natychmiast intonuje pieśń proroczą o przeznaczeniu noworodka. Następnie roztapia smołę i miesza z sadłem *almeksykowem*, a mieszaniną tą, podobną do gęstej oliwy, namaszcza głowę noworodka. Potem mu odbiera łuk, powtarza pieśń, a skończywszy ją, posypuje białemi piórami całą osobę dziecięcia z wyjątkiem głowy,

którą stroi w pióra zielone i czerwone. Nareszcie bierze *baragarę* i znaczy nią miejsce, na wargach, uszach i na nosie dziecka, gdzie nazajutrz przekłuje otwory. Na tem kończy się pierwsza część obrzędów wykonywanych przez Bororów przy narodzeniu indjanina.

Nazajutrz dziecię bywa z tą samą pompą niesione do *bahytu* i sadowione na skórze. Przed wschodem słońca bair intonuje pieśń błagalną do Mareby, aby zachował dziecię od wszelkiego nieszczęścia; gdy zaczyna dnieć bierze w rękę *baragarę* niby szpadę, z podniesionym do góry ostrym końcem i intonuje inną pieśń, zapraszając Aroesów, aby przyszli zobaczyć nowego *Borora;* i tak śpiewając zbliża się i cofa przed skórą aż pierwszy promień słońca strzeli do namiotu: wtenczas przekłuwa wargi uszy i nos niemowlęciu i daje mu imię pierwszego lepszego przedmiotu, który mu się nawinie przed oczy. Od tej chwili dziecię jest uznane za Borora; matka je odnosi do domu, a ukoronowawszy głowę jego szkarłatnemi pióry, przedstawia je publiczności, która je wita uficjalnie jako współplemieńca.

Ks. Antoni Malan.

(*C. d. n.*)

O języku bororskim.

Otrzymaliśmy piękny zeszycik o 66 stronicach, wydany w Kujabie, zawierający *gramatykę języka bororskiego* i mały słowniczek. Donoszą nam jednocześnie, że tasama drukarnia, przystąpi niebawem do wydania *Książki do czytania* portugalsko-bororskiej i *Katechizmu* również w dwóch językach: portugalskim, i bororskim do użytku szkół misyjnych w Brazylii.

Podróż młodych muzyków bororskich.

Podajemy Czytelnikom dalsze wiadomości o podróży małych muzyków indjańskich na wystawę narodową do Rio de Janeiro. Z Loreny, gdzie chłopcy zachorowali na różę, przeszli do Guarantiguety, gdzie zostali przyjęci z największymi względami w willi pewnej bogatej rodziny. Gdy tam przyszli zupełnie do zdrowia, udali się do Zakładu Sal. w Nictheroy przy Rio de Janeiro, ażeby tu stąd sławić się na wystawę. Obecnie wszyscy muzycy cieszą się najlepszem zdrowiem.

Podczas pobytu w Lorenie P. Bóg powołał do Siebie jeszcze jednego z ich grona, Jerzego, brata Michała Magonego; był od dłuższego czasu ochrzczony i wychowywany w zasadach wiary naszej św., więc gdy na łożu śmiertelnem zażądał przyjąć komunję św., chętnie przychylono się do jego prośby. Niepodobna opisać serdecznego współczucia i przywiązania, jakie nam okazała ludność nietylko miasta, ale rzec można, całego Stanu. Co nas napełnia najdotkliwszą boleścią, to przygnębienie, jakie spadnie na rodzinę, do której należeli wszyscy trzej chłopcy; polecamy ją przeto modlitwom Pomocników.

Rzecz szczególna! Naszym czytelnikom jest już rzeczą znaną, jak wielki wpływ wywierają *bairowie* (kapłani i naczelnicy) na indjan i jak rozwielmożnione jest śród nich panowanie szatana. Otóż nasi mali muzycy mowią, że jeden z *bairów* przepowiedział, iż 3 z młodego orszaku nie miało już powrócić do Osady. Prośmy Boga, aby wskutek spełnienia się tych groźnych słów nie wzmocniła się upadająca powaga *bairów*, ze szkodą dla nowonawróconych chrześcijan.



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni

MISJONARZA SALEZJAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XLVIII.

Osobliwa cecha nieszczęsnej katastrofy. — Tłumy zbiegają się na miejsce wypadku. — Władze uwiadomione. — Żałoba narodowa. — Boleść Salezjanów i Córek M. B. Wspomożycielki. — Katafalk ustawiony w kościele della Gloria. — Pogrzeb. — Na cmentarzu w Juiz de Fora. — Śledztwo sądowe. — Dowody oczywiste zbrodniczego zamachu. — Kiedy sprawa będzie zupełnie wyjaśniona? — Przed trybunałem opinji publicznej. — Apostoł i męczennik.

Katastrofie pod Juiz de Fora, tak strasznej samej przez się, towarzyszyły okoliczności tak niezwykłe, że zwiększyły jeszcze bardziej przerażenie wszystkich świadomych rzeczy. Ofiarami byli misjonarze, były dziewice, oblubienice Chrystusowe; wszyscy oni dążyli do tych dalekich prowincji brazylijskich z jedynym zamiarem szerzenia w imię Chrystusa religji i cywilizacji. Władze duchowne i świeckie tego kraju przyzywały ich gorąco, prosiły usilnie o ich przybycie; zewsząd spotykała ich pomoc i zachęta, nawet od tych, którzy w rzeczach wiary zachowywali się dość chłodno; wszyscy jednogłośnie uznawali, że misje synów ks. Bosko są dziełem prawdziwie chrześcijańskiem, humanitarnem, jak mówili ostatni. Stan osób, które uszły śmierci, był tak opłakany, że poruszał wszystkie serca i nawet osoby, które nie

były świadkami okropnego wypadku i tylko opowiadania słyszały, od łez powstrzymać się nie mogły. Ale najokropniejszą i niepowetowaną była — jak pisał jeden z brazylijskich dzienników — strata wielkiego biskupa, gorliwego kapłana, niezmordowanego apostoła pokoju, nauki, pracy, porwanego w całej pełni życia, sił i gorliwej działalności.

Zaledwie rozeszła się żałobna wieść, tysiące i tysiące osób zbiegło się na miejsce wypadku, a smutek i boleść widać było na wszystkih twarzach. Nawet ciemności nocy i deszcz bez ustanku strumieniami lejący, nie powstrzymały napływu tłumów. Nazajutrz także, choć na tem miejscu była już tylko bezkształtna masa gruzów i ślady krwi, zbiegowisko ludu nie było mniejsze. Zdawało się, jakoby do tej smutnej pielgrzymki przyzywał wszystkich głos dzwonów nieustannie się odzywających aż do pogrzebu nieszczęśliwych ofiar, jako oznaka powszechnej żałoby.

Skoro tylko wiel. ks. Wenancjusz, wikarjusz z Juiz de Fora, uspokoił się po pierwszem wrażeniu, jakie nieszczęście na nim sprawiło, wysłał o niem telegraficzne zawiadomienie do Prezydenta stanu, do Ministra rolnictwa, do biskupa dyecezji, oraz do wszystkich domów salezjańskich w Brazylji. Od tej chwili napływać zaczęły ze wszystkich stron Republiki brazylijskiej depesze wyrażające ubolewanie, lub żądające bliższych szczegółów. Depesze te pochodziły zarówno od biskupów, jak od prostych księży, od Naczelnika kraju, jak i od ostatniego z obywateli, bo wszyscy zarówno brali udział w tej wielkiej żałobie.

Rady miejskie w Juiz de Fora i w Ouro Preto przerwały swe posiedzenia na znak żałoby i wysłały deputacje na pogrzeb. Administracja hospicjum tegoż miasta zarządziła telegraficznie, aby na jej koszt urządzić wspaniały pogrzeb i złożyć na trumnie piękny wieniec. Bisk. p z Minas, związany z ks. Lasagną najserdeczniejszą przyjaźnią, wyraził głęboki żal, że zajęty właśnie wizytacją dyecezji, nie może, z powodu wielkiego oddalenia, wziąć udziału w pogrzebie i osobiście pobłogosławić grobów tych męczenników chrześcijańskiej miłości; Wikaryusz Generalny zaś, w liście pasterskim wezwał wszystkich wiernych dyecezji do modlitw za dusze ofiar. Prezydent stanu Minas p. Geraes, w imieniu wszystkich podwładnych, wyraził żal z powodu straty kapłana tak zasłużonego dla całej rzeczypospolitej.

Ale któż wypowie ból i rozpacz Salezjanów i Córek M. B. Wspomożycielki, po odebraniu tak bolesnej wieści! Przeszedłszy myślą całe życie dzielnego Misjonarza i prace jego nad zarządem salezjańskich Zakładów, możemy sobie wyobrazić, czem była jego strata. Brak słów, aby wypowiedzieć ten ból i nie kusimy się, aby go opisać. Poprzestaniemy jedynie na powtórzeniu tych wymownych słów Dra Lenguasa, prezydenta Związku dawnych uczniów Kolegjum Willa Kolon: « Biskup Lasagna nie żyje! W przeciągu kilku chwil najlepszy Ojciec wydarty został miłości swych dzieci, a cios jest tak gwałtowny i nagły, że łzy nawet wytrysnąć nie mogą, ani żaden jęk się odezwać! « Wszystkim zrazu się zdawało, że ofiara, jakiej niezbadane wyroki boskie od nich żądają, jest nad ich siły. Bóg jeden jest świadkiem wysiłków, jakie każdy musiał czynić aby się poddać Jego świętej Woli. Lecz powróćmy do nieszczęsnych ofiar katastrofy.

Ciała ich złożone zostały w klasztorze zacnych OO. Redemptorystów, którzy prosili jak o łaskę, o zaszczyt, by je przyjąć pod swym dachem. W ciągu nocy zacni ci Ojcowie zajęli się ostatnią posługą około zwłok biskupa i jego sekretarza, podczas gdy pobożne panie, przezwyciężając przyrodzony wstręt, oddały tę samą usługę poszarpanym szczątkom zmarłych Sióstr, które złożyły do trumien. Nazajutrz, wczesnym rankiem ciała nieszczęśliwych ofiar życzliwe osoby przeniosły do kościoła della Gloria w Juiz de Fora, aby tam czekały na uroczysty pogrzeb.

Mimo krótkości czasu, kościół cały wybity został kirem. W głównej nawie ustawiono siedm trumien w następującym porządku: w środku, na skromnym katafalku, trumna biskupa Lasagni ozdobiona infułą i innemi oznakami jego godności; obok, z prawej strony trumna ks. Bernardyna Villaamil, z lewej Wiel. Matki Teresy, nieco dalej, za niemi, trzy trumny pozostałych Sióstr oraz biednego palacza. Jest to widok niezwykły i wzruszający. Trumny znikają prawie pod mnóstwem kwiatów i wieńców, złożonych tu przez najznaczniejsze rodziny i różne stowarzyszenia małego miasta. W żałobnym obrzędzie biorą udział wszystkie władze cywilne, wojskowe, sądownicze, jako też Towarzystwa tak naukowe jak dobroczynne ze sztandarami okrytemi krepą. Wiele osób przybyło z Ouro-Preto, z Cachoejra do Campo i z Ponte Nova. W wielkiej liczbie obecni są także redaktorowie i korespondenci dzienników, bo wszyscy pragną dać swym czytelnikom pewne i dokładne wiadomości o tak wstrząsającym wypadku. Napływ pobożnych jest tak wielki, że część tylko może się dostać do kościoła, a reszta oczekuje na placu, lecz wszyscy zachowują budującą powagę i skupienie, tak głębokie i bolesne wrażenie sprawia obecność siedmiu trumien.

Kilkanaście Mszy św. zostało już odprawionych, gdy miejscowy Wikarjusz biskupi w asystencji duchowieństwa odśpiewał uroczystą Mszę żałobną. Po odprawieniu konduktu, poczciwy proboszcz, wielki przyjaciel ks. Lasagni i wielbiciel dzieł salezjańskich, wstępuje na ambonę aby wylać głęboką boleść, której nie może powstrzymać, i oddać hołd wielce zasłużony ofiarom, których zwłoki stoją przed nim. Nigdy może między mówcą a jego słuchaczami, przejętymi jedną myślą i wzruszeniem, nie było większej wspólności uczuć.

Łzy dławią głos czcigodnego Pasterza, który z trudnością może dokończyć swego przemówienia; orszak natychmiast wyrusza na cmentarz. Otwierają go bractwa, za któremi ukazuje się trumna biskupa Lasagni, niesiona na ramionach Salezjanów i Redemptorystów; za nią trumna W. Matki Teresy, niesiona przez kilka Jej Córek z pomocą pobożnych pań, które nie chciały zostawić mężczyznom tego ciężaru. Dalej inne trumny otoczone przez członków bractwa della Gloria.

Cmentarz w Juiz de Fora znajduje się na szczycie wzgórza o dosyć stromym i niewygodnym dostępie; jest on bardzo ubogi; żaden mur go nie otacza i żadne drzewo nie ocienia. Przygotowano tu cztery doły: jeden przeznaczony dla biskupa, drugi dla jego sekretarza, w trzecim, największym, mają spocząć obok siebie cztery Siostry, czwarty, dla palacza, znajduje się nieco opodal. Wobec tych otwartych grobów i w obecności ogromnego tłumu ludu, Dr. Franciszek Pinto de Moura, poseł Stanu Minas do Parlamentu centralnego, wypowiada mowę pożegnalną, poczem uczestnicy rozchodzą się w milczeniu pod głębokiem wrażeniem obrzędu, którego byli świadkami, podczas gdy groby się zamykają i ziemia kryje na zawsze zwłoki szlachetnych ofiar i ich wodza biskupa Trypolisu. Zaprawdę jest to grób bardzo nędzny, mało godzien tego wielkiego serca, którego miłość ogarniała nietylko Uruguaj, Paraguaj, Brazylię, lecz świat cały. « Są zmarli — wołał na ambonie ks. Soler, arcybiskup z Montewideo, — których żaden grób zamknąć nie zdoła, dla których jest on tylko szczeblem do chwały ». Te słowa tyczyły się szczególniej naszego nieodżałowanego biskupa.

Nie mówiłem dotąd nic o śledztwie sądowem, rozpoczętem zaraz po katastrofie. Około trzeciej godziny nad ranem, tegoż samego dnia, przybył na miejsce wypadku Marszałek Jardin, naczelny dyrektor brazylijskich kolei żelaznych; towarzyszył mu Dr. Rademaker naczelnik ruchu. Zamiarem ich było zbadać przyczyny katastrofy, szkody zrządzone przez zderzenie dwóch pociągów, oraz zwłoki ofiar. Odwiedzili również rannych, polecając, aby im na niczem nie zbywało. Poczem wspólnie z dyrektorem policyi poddali długiemu śledztwu tymczasowego naczelnika stacji w Mariano Prokopio, p. Alvesa. Mówimy *tymczasowego* naczelnika, bo, okoliczność, którą warto zaznaczyć — zwykły naczelnik opuścił był swoje stanowisko. Urzędnik ten wyznał otwarcie, że wypuścił z Ouro Preto pociąg mieszany Nr. 14, mimo że dał był na piśmie naczelnikowi stacyi w Juiz de Fora rozkaz puszczenia pociągu pośpiesznego. Ważne to zeznanie potwierdzili świadkowie: inżynier Bernard Trynidade, telegrafista, konduktor pociągu mieszanego, oraz Inspektor linji. Wszyscy twierdzą jednogłośnie, że Józef Alves rozkazał wypuścić pociąg mieszany, mimo iż było wiadomem, że z jego rozporządzenia idzie, w kierunku przeciwnym, po tychże szynach pociąg pośpieszny. Czyż potrzeba więcej dowodów? Przedłożono sędziom śledczym rozkaz na piśmie, który nosi podpis Józefa Alvesa. Niema zatem wątpliwości, że cała odpowiedzialność za nieszczęście spada na tego ostatniego, który też z rozkazu dyrektora kolei i naczelnika policyi został natychmiast uwięziony.

Czytelnik sądzi zapewne, na równi z nami, że teraz rozpoczął się poważny proces, który wydobył na jaw wszystkie okoliczności tak ważnego wypadku i wykrył, na kogo właściwie spada odpowiedzialność i wina za tę okropną katastrofę, w której siedm osób postradało życie na miejscu, a dwie inne kilka dni później, wskutek otrzymanych ran. Jest to akt sprawiedliwości konieczny, gdyż należy się zadośćuczynienie i nieszczęśliwym ofiarom i ich ojczystym krajom. Sędziom tem łatwiej powinno było dojść do jądra sprawy, bo mieli wielu świadków i dowody w ręku. W istocie Józef Alves przyznał się sam przed trybunałem do swej winy. Ale gdy go spytano o powody takiego postąpienia, odpowiedział cynicznie, że sam nie wie! A sędziowie, jeżeli się nie mylimy, zadowolili się tą odpowiedzią. Zapewniano nas, że ponieważ nie żąda się więcej od tych urzędników, na których jednak spoczywa odpowiedzialność za życie tylu istot ludzkich, sąd uwolnił Alvesa od wszelkiej winy i natychmiast wypuścił go na wolność; wobec tego śledztwo zostało zaniechane i tak ważna sprawa pogrzebaną. Nie jestże to hańbą? Trzeba jednak zaznaczyć, że chociaż kilka lat już upłynęło, liczba wielbicieli i przyjaciół nieodżałowanego biskupa Lasagni nie zmalała i wszyscy domagają się jeszcze teraz, by sąd spełnił swą powinność i stwierdził wobec całego świata, czy była tu zbrodnia i kto jej jest winien? Mają oni prawo wiedzieć, co znaczyły pogróżki, wypowiedziane krótki czas przed wypadkiem, i żądają, aby urzędnicy wytłumaczyli się ze swojego postępowania. Jeżeli tego nie uczynią, ogół będzie miał prawo uważać ich za winnych. A gdyby sądy i sprawiedliwość ludzka, która niestety zbyt często powoduje się namiętnością i duchem partyjnym, przez zaniedbanie, które wolno uważać za przychylność dla zbrodniarzy, odmówiły wypełnienia swego obowiązku — wtedy postąpimy tak, jak uczynił ks. Dr. Hermenegild Roa wygłaszając mowę żałobną na nabożeństwie za biskupa Lasagnę w katedrze miasta Assumpcion, stolicy Paraguaju; jak on, odwołamy się do trybunału opinji publicznej. Trybunał ten, wyższy od trybunałów sądowych, wygłasza swe wyroki dopiero po bacznem zbadaniu sprawy i rozróżnieniu niewinności lub winy oskarżonych, po rozważeniu dowodów i faktów, opierając swój wyrok na pewnej podstawie.

Otóż po pierwszej wieści o zgonie biskupa Lasagni, trybunał opinii publicznej bez wahania ten wyrok wygłosił i dał odrazu nieodżałowanemu nieboszczykowi chlubne miano *męczennika*. A czemu? bo męczennikiem jest ten, kto pada z bronią w ręku we świętej walce o sprawę cywilizacji chrześcijańskiej; męczennikiem jest ten, kto oddaje życie w szlachetnym zamiarze, by sztandar prawdziwego postępu zatknąć na szczycie; męczennikiem jest, kto się poświęca na ołtarzu obowiązku i dobra publicznego; męczennikiem wreszcie ten, kto, jak biskup Lasagna, ginie nie pod zwykłym ciosem śmierci, ale pod brzemieniem swych własnych dobroczynnych dzieł i wzniosłych zamiarów.

Tenże sam wyrok wydał trybunał opinii publicznej przez usta ks. Józefa Castellanos z Montewideo, który oświadczył, że: « Biskup Trypolisu padł jak żołnierz, który ginie na polu bitwy, broniąc świętej sprawy ojczyzny. Zużył życie swoje w twardej pracy, której się poświęcił, szerząc zasady religii, jakie swem życiem wyznawał, walcząc bronią słowa w obronie wiary przeciw wątpiącym i bezbożnikom, odpłacając dobrem za złe, oświecając nieumiejętnych, zakładając szkoły i warsztaty, aby

wychować dla społeczeństwa nowe pokolenia lepszych obywateli ».

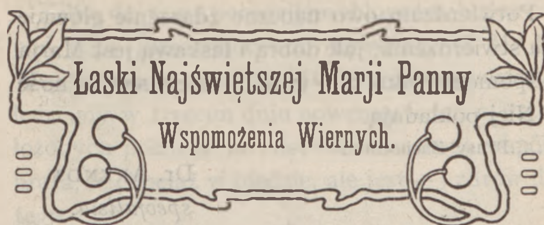
Takiż wyrok wypowiedział gorliwy arcybiskup z Montewideo, ks. Marjan Soler. Zaledwo otrzymał bolesną wiadomość, której z trudnością dał wiarę, że biskup Lasagna padł ofiarą zderzenia się dwóch pociągów koło Juiz de Fora, rzucił na papier kilka wspomnień, natchnionych głęboką czcią dla *biskupa Lasagni apostołowi i męczennika!* W tych pięknych kartach, po opisaniu zdumiewającej czynności biskupa Trypolisu, dodawał: « Tak, biskup Lasagna był aż do śmierci nieznużonym apostołem. Ale możnaż go nazwać męczennikiem? Powód jego śmierci był zbrodniczy, a zbrodnia ta mogła być popełnioną tylko z nienawiści dla jego apostolskiej działalności; z tego względu jest więc męczennikiem zarówno jak towarzysze jego trudów apostolskich. Ach! jeśli teraz w niebie osiągnął palmę męczeńską, jakże potężnego opiekuna ma w Nim Kongregacja Salezjańska; jakże się On za nas modli! Pocieszmy się zatem! »

Wikarjusz Apostolski, biskup Costamagna, również uznaje biskupa Lasagnę męczennikiem w liście pisanym do ks. Rua 20. listopada 1895. Przeprowadził on bardzo ścisłe badania, zebrał i starannie zgłębił wszystkie okoliczności towarzyszące tragicznemu wypadkowi i tak wnioskował: « Jeżeli się zastanowimy bacznie nad okolicznościami, jakie towarzyszyły temu smutnemu wypadkowi: widzimy wielkie powodzenie misji w Guarantigueta, groźby śmiertelnej zemsty rzucone z tej okoliczności, rezygnację naszego drogiego Biskupa, owszem Jego pragnienie, by oddać życie za Chrystusa; potem niewytłumaczone opóźnienie pociągu; zmianę naczelnika stacji, który, nie wiedząc może o tem, zostawił na swem miejscu spiskowca, ten zaś wyznał bez ogródki, że wypuścił rozmyślnie pociąg, który wiózł na śmierć niechybną i straszną Missjonarzy i Zakonnice; zmianę umieszczenia wagonu specjalnego przeznaczonego dla Salezjanów, który wsunięto między lokomotywę a furgon pocztowy; wszystko to każe wnosić, że był tu zamach zbrodniczy i że biskup Lasagna i jego towarzysze, którzy zginęli przy Jego boku, zarówno jak ci, którzy wyleczyli się ze swych ran, cierpieli za sprawę katolicką i za Imię Jezusa Chrystusa ».

I tak, pomijając wiele innych głosów opinji publicznej, na których oprze się kiedyś wyrok historji, możemy wnosić stanowczo, że zderzenie pod Mariano Prokopio nie było bynajmniej przypadkowem, i że jeśli sądy zechcą być bezstronne i sumiennie spełnić swą powinność, muszą odkryć winnego, czy winnych. Wprawdzie Kościół katolicki żąda więcej dowodów, by jedno ze swych dzieci zaliczyć do grona świętych Męczenników; lecz stwierdziwszy szlachetną ofiarność biskupa Lasagni, jest nam słodką pociechą szukać go sercem w niebie, w kole Świętych, uwieńczonego podwójną chwałą Apostolstwa i Męczeństwa.

(*Dokończenie n.*).





Ja niżej podpisany lekarz specjalista, wywiązując się z obietnicy danej pewnemu kl. Salezjaninowi zamieszczenia w *Wiadomościach Salezjańskich* uzyskanej przezeń łaski od Marji Wspomożycielki, z przyjemnością zaznaczam co następuje:

Prawie przez trzy miesiące leczyłem owego kleryka, podziwiając niejednokrotną jego cierpliwość i wielką ufność w pomoc Panny Maryi. Jego choroba kurczów żołądkowych była bardzo niebezpieczną, tak iż sam począłem wątpić o jego wyzdrowieniu, każda chwila bowiem była dlań niepewna; zauważyłem atoli, że jakaś pomoc nadziemska objawiała się w różny sposób podczas choroby pacjenta. Z mej strony zatem o ile mogłem, starałem się przynieść mu ulgę w jego tak przykrym stanie.

Po niejakim czasie zaczęło mu się widocznie polepszać, aż tu naraz choroba poczyna wracać o wiele groźniejsza, niż przedtem. Natychmiast przywołano mnie do chorego; przeraziłem się bardzo, gdym go ujrzał prawie bez życia. Sam straciłem już wszelką nadzieję, tak iż nie było innej rady, jak tylko udać się do Marji, w której on tak wielką ufność pokładał. Powiedziałem zatem jego matce, by czemprędzej dano znać o stanie bardzo niebezpiecznym jego zdrowia Przełożonym i współbraciom. Ja zaś pozostawszy przy nim, pocieszałem jego stroskaną rodzinę zapewnieniem, że Marja żyje w jego sercu — a to mu wystarcza. W istocie po kilku godzinach gorączka ustaje, chory prosi nawet o napój, a wyciągając z wdzięcznością ręce do mnie, powiada, iż czas jego tak długiej choroby był dlań jakoby snem i słodkiem marzeniem. Uspokojony tą niezwykłą zmianą w chorobie mego pacjenta, wyjechałem zaraz do domu. Po kilku dniach stanął on sam w moim saloniku oświadczając, iż zaczyna przychodzić do sił; nakazałem mu dalej brać kąpiel, a po upływie miesiąca mogłem go oddać jego rodzinie już zupełnie zdrowego.

Potwierdzam owo naoczne zdarzenie głównie dla stwierdzenia, jak dobrą i łaskawą jest Marja Wspomożycielka dla tych, którzy swą ufność w Niej pokładają.

.....Prusy Zachodnie.

Dr. Arendt.
specjalista.

***

Byłem bardzo chory na nogi a wszelkie lekarstwa okazały się bezskuteczne. I cóż miałem począć w tak ciężkiem położeniu? — Widząc, że pomoc ludzka jest niewystarczającą, udałem się do potężnej *Lekarki niebiańskiej*, Matki Boskiej Wspomożenia wiernych, obiecując, że jeśli Bóg za Jej przyczyną udzieli mi zdrowia, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezjańskich*, aby wszyscy czytelnicy ufność swą w Niej pokładali. I rzeczywiście prośba moja została wysłuchana, gdyż odzyskałem upragnione zdrowie.

Z wdzięczności posyłam pięć koron na cele salezjańskie i na mszę św. do M. B. Wspomożycielki, aby mnie wraz z całą rodziną miała w Swej opiece.

Lwów, 7. września 1908 r.

A. M.

Marja Wspomożycielka ratuje od pożaru.

W czerwcu b. r. wybuchł w naszem mieście ogień. Pobiegłem zaraz na miejsce wypadku i ujrzałem, że wiatr rzuca płomienie na dom, w którym mieszkają moje szwagrowe, mające zarazem skład kolonialny. Już ludzie zaczęli wynosić towary z owego składu, lecz ja zabroniłem im tego; pobiegłem natomiast na dach i zatknąwszy tam obazek Najsł. Serca Jezusowego, błagałem Go ze łzami w oczach, aby za wstawieniem się Matki Boskiej Wspomożenia wiernych raczyło nas uchować od dalszej pożogi. Przyobiecałem również, że ogłoszę to w *Wiadomościach Salezjańskich*, jeśli zostanę wysłuchany. I o cudo! — wiatr obrócił się, w przeciwną stronę, tak iż nie tylko dom, w którym moje szwagrowe mieszkają, ocalał, ale i inne domy nie doznały dalszego zniszczenia.

Składając Boskiemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Marji Pannie Wspomożenia wiernych najszczersze dzięki za tak wielką łaskę, załączam ofiarę na odprawienie mszy św. dziękczynnej.

Zbąszyń (W. Ks. Poznańskie), 27. 9. 1908.

Szczepan Fr.

***

Najserdeczniejsze dzięki składam Boskiemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce wiernych za doznaną łaskę. Opiece tej Pani najlitościwszej poleciłam pewną sprawę, przyobiecując jednocześnie złożyć publiczne dziękczynienie w *Wiadomościach Salezjańskich* i kazać odprawić mszę św. dziękczynną — w razie gdybym została wysłuchaną. Ponieważ dobrotliwa Wspomożycielka wiernych nie odrzuciła mej prośby, załączam 10 koron na cel wyż wymieniony i polecam nas wszystkich Jej Macierzyńskiej opiece.

Horyniec (Galicja), 4. 8. 1908.

K. Lewicka.

Cudowne uzdrowienie dziecka.

Moje dziecko dwuletnie było od urodzenia cierpiące na chorobę przypadkową, wobec której lekarze nic pomóc nie mogli. Litując się nad maleństwem i nie widząc innego ratunku, postanowiłem polecić je najlepszej Lekarce chorych, Matce Boskiej Wspomożycielce, która tyle łask wyświadcza bezustannie swym wiernym czcicielom. Po wysłaniu ofiary na mszę św. za chore dziecko, choroba prawie natychmiast ustąpiła sama przez się i od tej chwili już więcej się nie powtórzyła.

Przejęty wdzięcznością ku Najświętszej Pannie za doznaną łaskę, uiszczając się z przyrzeczenia, przesyłam małą ofiarę na mszę św. dziękczynną.

Białystok (Litwa), 8. 8. 1908.

Jan Brański.

***

Córka moja pięcioletnia spadła ze strychu wysokiego cztery metry na podłogę i w pierwszej chwili zdawało się, że się zabiła. Gdym atoli wezwał pomocy M. B. Wspomożycielki i skropił pacjentkę zimną wodą, zaraz odzyskała przytomność a później zdrowie. Pomimo że uderzyła głową, prócz lekkiego wstrząśnienia, nie dostała zapalenia mózgu; nie złamała też ani ręki, ani nogi, czemu lekarz bardzo się dziwił.

Uratowanie to zawdzięczam jedynie Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce, za co Jej publicznie z całego serca dziękuję.

Malawa (Galicja), 13. 8. 1908.

Bronisław Cieszanowski.

***

Chcąc sobie poprawić byt, by mieć większą sposobność kształcenia dzieci, podałem się o lepszą posadę, o którą starało się bardzo wielu z protekcjami. Ja natomiast udałem się o protekcję do Matki Boskiej Wspomożycielki, odprawiając nowennę i przyrzekając — w razie otrzymania tej posady — przesyłać na cele salezjańskie do Oświęcimia przez dziesięć miesięcy po pięć koron, począwszy od sierpnia. Skoro wyczytałem moją nominację na tę posadę w dzienniku i nadszedł termin, przesyłam 5 koron jako pierwszą ratę na podziękowanie za tak łaskawe wysłuchanie mej prośby. Zanoszę również prośbę do Matki Najświętszej o dalszą łaskę i opiekę, abym mógł się na przyznanem mi stanowisku utrzymać, bo podobno zawiedzeni współzawodnicy robią starania, aby moją nominację odwołano.

Dęba (Galicja), 3. 8. 1908.

L. Wnękowski.
nauczyciel.

***

Mąż mój niebezpiecznie zachorował. W ciężkiem utrapieniu mojem udałam się z całą ufnością do Najsł. Serca Pana Jezusa i do Matki Boskiej Wspomożycielki Wiernych, przyobiecując, że jeżeli mąż mój szczęśliwie wróci do zdrowia, poślę na mszę św. dziękczynną i ogłoszę w *Wiadomościach Salezjańskich.* — Prośba moja została wkrótce wysłuchana, za co składam na tem miejscu Boskiemu Sercu i Pannie Najświętszej Wspomożycielce serdeczne podziękowanie i proszę o dalsze łaski.

Lelice (W. Ks. Poznańskie), 29. 8. 1908.

K. D.

Pocieszycielko strapionych, módl się za nami!

Od paru miesięcy dom nasz oświęcimski dotknięty był serdecznym żalem i niepokojem o jednego ze współbraci, który pojechał był za kordon na wakacje i żadnej wieści o sobie nie dawał. Niepokój ten wzrósł od chwili, gdyśmy się dowiedzieli, że wspomniany współbrat już był w powrocie do Oświęcimia, tylko po drodze gdzieś zaginął, co wobec niepokojów panujących już dawna w Królestwie Polskiem groziło utratą go na zawsze.

Kilka dni temu poradziłem chłopcom, będącym pod jego kierownictwem, nowennę do M. B. Wspomożenia wiernych. Jak bardzo się ucieszyłem, gdy w trzecim dniu nowenny jeden z Przełożonych pokazał mi list od rzeczonego współbrata, że chociaż w biedzie, ale jest — i zdrów do tego.

Błogosławmy pomocy Matki Najśw. i zawsze się do Niej uciekajmy!

Oświęcim (Galicja), 5 9. 1908.

X. J.K.

***

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Zofja Birkenmajerowa z Czernichowa (*Galicja*); Apolonia Kolendowicz z Jaraczewa (*W. Ks. Poznańskie*); Wincenty Lipka z Dębu (*Galicja*); Marjanna Cybulska z Guarany (*Brazylja*); Michał Stanek z Makowa (*Galicja*) Marja Walek z Barkowic (*Górny Śląsk*); Franciszek Nosek z Mikulczyc (*Górny Śląsk*); Wiktor Amba z Chlebowic (*Galicja*); Józef Kręcioch z Hoczni (*Galicja*); Stanisław Polaczek z Krzeszowic (*Galicja*); Marjanna Bigos z N.; Aniela Jankowska z Niedźwiedzia (*Galicja*); Antonina Schreierowa z Podgórza (*Galicja*); Zofja Błażejowska z Mościsk (*Galicja*); E. Kostrzewska z Węglewa (*W. Ks. Poznańskie*); Józef Onyśhów z Kossowa (*Galicja*): N. Kukura z N.; M. Spytowska z Wójtowejwsi (*Górny Śląsk*); Franciszka Bieniasz z Łańcuta (*Galicja*); Wiktorja Majcher z N.; Józef Snopek z Brennej (*Śląsk austrjacki*); Juljan Hł. z Janorowa (*Galicja*); za wysłuchanie prośby; Melania Chmielnik z Turki (*Galicja*), za otrzymane zdrowie; M. Błażejewska z Poznania, za wysłuchanie prośby; Kamila Kiselkowa z Machlińca (*Galicja*), za doznaną pomoc; Władysław Polański z Procisnych (*Galicja*), za uzdrowienie dziecka; Marja Jaworska za odzyskane zdrowie; Wincentyna Wnękowska z Baranowa (*Galicja*), za to, że pomimo nieprzezwyciężonych przeszkód mąż otrzymał upragnioną posadę; N. Potrykusowa z Osłanina (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie syna ze słabości umysłowej po dwuletniej chorobie; X. M. z Turynu (*Włochy*).



Po wakacjach.

Oświęcim, 1 - X - 1908.

.....Jeszcze parę chwil, a będzie się trzeba na cały rok pożegnać ze złotą wakacyjną wolnością, na cały rok przykuć do ławki.

.....Ha, trudno! nie można na zawsze pozostać u mamusi za piecem, trzeba powracać tam do zakładu, gdzie zostawiłem książki i kolegów, gdzie rodzina liczniejsza, gdzie powoli zaczyna się poznawać ten świat, w którym chcąc nie chcąc będę musiał zająć mój kącik. A jednak smutno opuszczać tę wioskę moją ukochaną, w której znalazłem tyle serc życzliwych, zawiązałem tyle znajomości i przyjaźni, ten kościółek i tę plebanię i tego Wielebnego Staruszka, któremu zawdzięczam wszystko! Miły Boże, jak on mię wczoraj serdecznie żegnał na drogę! Czy ja w ciągu roku zdołam wytrwale spełniać to wszystko, co mi tak gorąco zalecał? Tak mi Panie Boże dopomóż!... Niech mię dreszcze wezmą jeślibym w tym roku miał oberwać choćby tylko jedną dziewiątkę! Jedźmy!...

Ciekawym, jak się też w tym roku rzeczy ukształtują w Zakładzie? kogo też ustanowią radcą szkolnym, albo jacy będą nowi asystenci i nauczyciele? No, mniejsza o tych, bo ostatecznie, cóż mi najlepszego mogą uczynić? nastawiać krzyżyków w zeszytach, a szóstek w dekurji, postawić mnie na straży honorowej tam, gdzie się zazwyczaj stawia miotłę!!! wszak to wszystko można jeszcze jakoś strawić. Ale... te poniedziałkowe pogadanki z ks. Radcą w cztery oczy — brrr... niech cię tam dreszcze wezmą! Dajmy lepiej spokój tym wspomnieniom. Jak też tu duszno w tym wagonie! Stary upaństwowiony furgon dygoce i dygoce, jak fiakr Ickowy po oświęcimskim bruku, a drogi nie ubywa.

Gdyby już przynajmniej na dworze była pogoda, żeby się człowiek mógł rozejrzeć po świecie Bożym, ale bójcie się biedy! leje i leje jak z cebra, a tu już zboże powalone poczyna gnić, gdzieniegdzie łany zupełnie zatopione. Mój Boże, co to będzie, co to będzie!? — Już w ubiegłym roku bułki w Zakładzie bywały różnej wielkości i różnego koloru, a asystent refektarza biadał i karcił za każdy opuszczony ułamek. Toż to dopiero będzie chudo w tym roku, kiedy się zanosi na powszechną drożyznę. Biedny ks. Dyrektor! będzie nam musiał nieraz przypominać św. Józefa...

Ale otóż i Oświęcim! zawsze ten sam: stary i zżydziały! Zawsze te same grupy wynędzniałych wychodźców, zawsze tesamo natrętne żydostwo, co prawie gwałtem wpycha człowieka do swych cuchnących doróżek. Nie! jużto lepiej puścić się pieszo błoniami ku miastu, niż za 3 szóstki trzęść się pół godziny w żydowskiej karjolce. Ciekawym doprawdy, rychło też zbudują ów most i tramway, który nas ma uwolnić od dobrodziejstwa żydowskich fiakrów i od poniewolnych przejażdżek przez czosnkowane ulice starożytnego grodu.

Oho, w Zakładzie już gwarno; tom widocznie przyjechał nie z pierwszymi. No, przynajmniej nie będzie nudów. W kościele kończą tynkowanie, pełno w nim rusztowań, Przenajświętszego niema, trzeba pójść do kaplicy św. Jacka i tam podziękować Panu Jezusowi za szczęśliwą podróż i powrót do gniazda.

***

Tak rozumował Wicek wracając z wakacji. Teraz już siedzi nad książką i kuje łacinę aż ławy trzeszczą; czasem zapuści ręce w kędziory swej bujnej czupryny i targnie za nią, jakby chciał potrząść myślami nagromadzonemi w mózgownicy, żeby się lepiej ułożyły i było więcej miejsca na inne. Albo też może otrząsa się z natrętnych wspomnień wakacyjnych — o ostatnim odpuście św. Jacka, o zlocie Sokołów, albo o ostatniej wycieczce. Ależ bo to było żwawo! Podczas przygotowań na św. Jacka chłopcy czyścili, zamiatali, rozwieszali wieńce, girlandy, festony, w szkole muzyki rozbrzmiewał naprzemian huk trąb, jęk fletów, potem łagodna, rzewna błagalna nuta śpiewu gregorjańskiego, to znowu silne akkordy muzyki polifonicznej. A gdy w sam dzień uroczystości patrzał na te tysiące ludu cisnącego się do świątyni i na dziedziniec, gdy słuchał tych podniosłych melodji kościelnych i tych potężnych słów kaznodziei, a nareszcie zobaczył wyćwiczone zastępy Sokołów, to czuł, że w sercu robiło mu się dziwnie błogo i przestronno, a w duszy coś rosło i dojrzewało... : « I ja muszę się stać zdolnym do takiej pracy, godnym stanąć ramię przy ramieniu z tymi, co pracują dla Boga i Ojczyzny! »

Odtąd już tylko rozmyślał nad sobą, a jako ćwiczony sokół z wojskową ścisłością sformował sobie

w myśli plan postępowania w nowym roku szkolnym. I ta myśl o naukach, o pracy nad samym sobą tak mu zaprzątała głowę, że omal nie zapomniał, iż przed rozpoczęciem regularnej szkoły tradycja zakładowa uświęciła jeszcze małą rozrywkę — wycieczkę......

26 sierpnia, godz. 1 po południu.

Na dziedzińcu św. Jacka stoi zszeregowana gwarna drużyna zakładowa w komplecie, wyjąwszy płaczków i..... Nasz Wicek stoi w swoim rzędzie, kręci się, wierci na obcasie i niecierpliwi, bo kapela już trzyma instrumenta przy wargach, laskonogi doboszek pomrukuje na bębenku, kapelmistrz czeka, asystenci czekają, a ks. Prefekt jeszcze nie daje znaku do wymarszu.

Nareszcie!

Kapelmistrz, a zarazem wódz pochodu, obrzuca imperatywnem spojrzeniem szeregi. Robi się cisza, jakby makiem posiał. — Baczność!!! Po... chód! Huknęły trąby i pokrywy, ruszyła ławą cała drużyna — tam na ulicy zawrzało jak w kotle — a na dziedzińcu czysto, jak po miotle......

W takt muzyki kroczy Wicek krokiem silnym, miarowym. W tym zwartym orszaku, co potężną muzyką i jednostajnym ciężkim krokiem zdawał się budzić do życia zgrzybiałe mury Oświęcimia, uczuł w sobie niewytłumaczone poruszenie dumy, siły. Gromada to wielki człowiek, pomyślał, a tu coś więcej niż gromada — tu jeden krok, jedna myśl, jedno serce, a krok mocny, a myśl świeża, a serce młode.

Nie wytrzyma dłużej. Skoro tylko ucichły dźwięki trąb, a orszak znalazł się poza murami miasta, zanucił na całe gardło, a za nim chórem cała drużyna zawtórowała ulubiony marsz Sokołów:

Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat
Na nowe on życia koleje
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad
I dusza i ciało w nim mdleje:
Hej! bracia Sokoły, dodajmy mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył!

Po całogodzinnym marszu, ożywionego naprzemian dźwiękami kapeli, mazurkami, krakowiakami i hymnem narodowym, drużyna stanęła na małej polance na brzegu Soły. Tutaj sobie chłopcy wykąpali nogi, a gdy się następnie pokrzepili darami bożemi, które przy takich okolicznościach pojawiają się zazwyczaj w większej obfitości, w młodzieńczych żyłach poczęło fermentować i kipić: W harce! w harce! zagrzmiało hasło. W harce! zawołał Wicek. Wnet stawają do partji dwa przeciwne oddziały; ks. Prefekt z upodobaniem spogląda na błyszczące ogniem twarzyczki swych 250 « urwiszów », a dolewając oliwy do ognia każe postawić worek gruszek między dwa przeciw sobie uzbrojone obozy. Rycerska żyłka zadrgnęła w zapaśnikach. Po jednej stronie i drugiej chyżość, natężenie, uwaga, przezorność dwoją się i troją; jedna jedyna partja, z jaką zazwyczaj można się rozprawić w 1 kwadransie, dzisiaj trwa już 1½ godz. Punkta idą powoli, zdobywane rzęsistym potem, aż nareszcie dwunasty, przyjęty grzmotem oklasków i okrzyków, położył koniec zapasom. Wicek, który najwięcej się przyczynił do zwycięstwa swojego oddziału, a któremu w tej chwili milszy był znaczący uśmiech ks. Prefekta i odniesione guzy i siniaki niż wszystkie gruszki, zaproponował, żeby się zdobyczą wspaniałomyślnie podzielić ze zwyciężonym, na co, rozumie się, jednomyślnie się zgodzono.

Ale z ostatnią gruszką skończył się też słodki okres wakacyjny z swoimi odpustami, zlotami i wycieczkami, a teraz miał nastąpić nieubłagany rygor i porządek regularnej szkoły. W ostatnią niedzielę sierpnia nastąpiło uroczyste otwarcie roku szkolnego. Zebrani na sali rekreacyjnej wysłuchali chłopcy jędrnych słów ks. Prefekta, zastępującego ks. dyrektora, i dowiedzieli się nareszcie, którzy nauczyciele mieli objąć poszczególne przedmioty.

Wicek, przeliczając fatalne następstwa zeszłorocznych « wybryków » przejrzał jeszcze raz i odświeżył w myśli plan tegorocznej pracy i walki, zdecydowany pracować tak pilnie, sprawować się tak wzorowo, żeby sobie raz na zawsze oszczędzić takich gorzkich pigułek, jakich sobie przygotował zeszłorocznem lenistwem i lekkomyślnością.

(*Wickom oświęcimskim życzymy z całego serca powodzenia w naukach i wytrwania w postanowieniach. Mamy też nadzieję, że dzielni sokoli nie omieszkają nam przysłać od czasu do czasu jakiej nowiny o popisach swego gniazda. Czołem!* — Redakcja.

Oratorjum. — Ciekawy widok przedstawia macierzysty dom naszego Zgromadzenia w czasie doby wakacyjnej. Jest to bowiem czas, w którym różni inspektorzy, dyrektorzy i zwyczajni współbracia z odległych okolic zjeżdżają się do Przełożonych głównych Zgromadzenia rezydujących w Oratorjum, aby z nimi osobiście załatwić niektóre ważniejsze sprawy. Na ten sam czas przypadają także liczne ćwiczenia duchowne czyli rekollekcje w poblizkich zakładach. I tak w Val-Salice odprawiły się 4 serje; jedna serja dla kandydatów studentów, druga dla kandydatów rzemieślników, trzecia dla dyrekto-

rów, a czwarta dla kapłanów i dla gotujących się do święceń. W Lanzo odprawiły się dla braciszków dwie serje, a jedna dla kapłanów i kleryków. W Martinetto (w Zakładzie kroackim) odprawiły się ćwiczenia dla chłopców uczęszczających do kaplic świątecznych turyńskich. Nareszcie w Foglizzo, w Iwrei i w Lombriasco odprawiono również po jednej serji. Wymienione miejscowości znajdują się jedne w obrębie miasta Turynu, jak Val-Salice i Martinetto, inne nie daleko od niego, a połączone wygodną komunikacją kolejową: wszyscy więc biorący udział w jednem ze wyspomnianych wyżej ćwiczeń, wstępują choć na chwilkę do Oratorjum, aby się pomodlić u stóp Ukoronowanej Matki Wspomożycielki, i odwiedzić pokoik, w którym niezapomniany Ojciec pożegnał się na zawsze z dziatwą swoją. Więc pośród gości można spotkać najróżniejsze typy i narodowości: nieraz w refektarzu Polakowi przypada miejsce obok Niemca, Słowieńcowi obok Węgra, Hiszpanowi i Portugalczykowi okok Włocha, Francuzowi obok Anglika, Brazylijczykowi obok Tamulczyka, *ubi* (*tamen*) *non est gentilis et Judaeus, barbarus et Scytha, sed omnia et in omnibus Christus.*

Na ten sam czas przypadają także najliczniejsze pielgrzymki do Rzymu, do Ziemi św., do Lourdes i t. d., a prawie każda pragnie przy tej okazji zobaczyć kolebkę dzieł Wielebnego ks. Bosko; nieraz przez całe przedpołudnie wszystkie ołtarze świątyni Matki Boskiej, kościoła św. Franciszka Salezego, i pokoiku Wielebnego Jana Bosko są zajęte przez celebrujących kapłanów- pielgrzymów. Ale pomimo tego ruchu kosmopolitycznego,który nieraz poczciwego ekonoma wprawia w kłopoty kuchenne i noclegowe ci, którzy stale przebywają w Oratorjum, odczuwają jakiś brak, jakąś pustkę: niema wychowanków! W ciągu roku 800 istnych wiatraków napełnia krzykiem wszystkie podwórza, wypróżniają apetytem wszystkie spiżarnie, a swoją fantazją budzą nadzieję lub doprowadzają do desperacji dziesiątki asystentów, nauczycieli, majstrów..... Podczas wakacji ich niema; pozostała garstka, może setka, niknie w 5 dziedzińcach, w 10 warsztatach, w magazynach i szkołach. Więc mimo sporadycznego ruchu przechodniów, pusto, smutno, tęskno w naszem Oratorjum.

RADNA. — Wycieczka do winnicy p. Kozińca. — Nad brzegiem Sawy, na stoku lesistych gór, w zielonym gąszcu pysznego parku, tam nasze mieszkanie. Spytaj się tu przyrody jakie jej imię a odpowie ci: *poezja!* Ty sam żyjesz, oddychasz i—piszesz poezją. Bo jakżeż inaczej, skoro mieszkasz w romantycznym zamku, wieczorem marzysz śród woni ogrodów i szmeru strumyków, rano rozmyślasz o wielkości bogactw i potęgi Bożej patrzącej ogromnie ze skał i urwisk, ze złoconych szczytów i ponurych parowów, a przyjaciołmi twemi nieodstępnymi drzewa i kwiaty, rośliny i ptaki.

W ostatnich dniach i Bacchus nas polubił, sprawiając nam niepowszednią ucztę w winnicy p. Kozińca. Wyruszyliśmy o 2-ej po południu na drugi brzeg Sawy, zapłaciwszy po jednym cencie Charontowi za przewóz, a potem pieszo wyżej i wyżej po urwistych stokach, śród cienistych lasów. Zapomniał każdy o bólach, słabościach; hasło: *Do pana Kozińca!* rozwiało wszelkie bóle i niemoce. Po półtoragodzinnej drodze jesteśmy u celu. Za nami przybyli nasz czcigodny ks. Dyrektor i przew. ks. Proboszcz z Sewnicy. Pan Koziniec przyjął nas z goscinnością iście słowiańką. ,,To wszystko dla was — rzekł, wskazując na winnicę, w której nie dojrzysz końca — każdy tu panem, niech rwie ile się podoba.'' Co za obfitość daru bożego! Latorośle uginają się i kłaniają pokazując te czarne, tamte białe grona. Wnet po winnicy rozpoczęła się formalna wędrówka ludów; jedni idą w prawo, drudzy w lewo; ci wszerz, tamci wdłuż przebiegają szpalery, a spotykając się pytają o powodzenie...

A wszystkim musiało się dobrze powodzić, bo po niejakim czasie z zielonej murawy zabrzmiały wesołe śpiewy, których ostatnie nuty rozpłynęły się w blaskach zachodzącego słońca... (1)

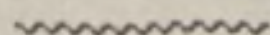
---

(1) Podobną życzliwość dla Salezjanów okazali p. Longsschamp i p. Naczelnik stacji w Ławocznem, zapraszając na Beskid naszych Synów Marji daszawskich wraz z Przełożonymi. Zwiedzono uroczą krainę górską pogranicza węgierskięgo, gdzie napotkano na rodaków, odciętych zupełnie od Ojczyzny, śród Rusinów, Węgrów i Niemców i dano im sposobność uczestniczenia na polskiem nabożeństwie. Noc spędzili chłopcy, gdzie kto mógł — nawet w wagonach, zwłaszcza II kl. Niezatarte wrażenie zrobiła na nich poczciwość i serdeczność polskiego kowala p. Ant. Solona.



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, które Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu grudniu.



Pomocnicy salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu grudniu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

1. W uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. P. M. (8. grudnia).
2. W uroczystość Bożego Narodzenia (25. grudnia).
3. W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.
4. Raz na miesiąc w dzień przez każdego dowolnie obrany.
5. Raz na miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. dobrej śmierci (1).
6. W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.
7. Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.
8. W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty Stacyjne:*

Pomocnicy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tamże na intencje Ojca św. zyskać moga:

a) W I. II i IV niedzielę adwentową *odpust 10 lat i tyluż. kwadragen.*

b) W III niedzielę adw. *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

c) W suche dni adwentowe *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

d) W wigilję Bożego Narodzenia i w nocy podczas pasterki *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

e) W dni św. Szczepana, św. Jana Apostoła i Ewangelisty, św. Młodzianków, *odpusty 30 lat i tyluż kwadragen.*

C. — *Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

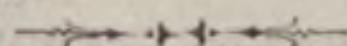
E. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, pięć Zdrowaś i pięć Chwała Ojcu.

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów,* trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



---

(1) Ćwiczenie dobrej śmierci, jak je odprawiają członkowie i wychowankowie Salezjańscy, w najistotniejszej swej części polega na tem, aby każdy tak uporządkował swoje sprawy doczesne i duchowne, żeby tej chwili być gotowym stanąć przed trybunałem Bożym, a na ziemi nie pozostawić żadnych spraw zawikłanych. Środki ku temu są:

Dokładniejszy, niż zwykle, rachunek sumienia.

Spowiedź (generalna lub zwyczajna według poznanego stanu duszy).

Komunia św., przyjęta jakby za Wijatyk.

Półgodzinne zastanowienie czy się postąpiło lub cofnęło w cnocie i jakie środki mogą nas uchronić od przyszłych upadków.

Ks. Bosko zapewniał, że kto co miesiąc będzie odprawiał to pobożne ćwiczenie, może być spokojny o swą ostatnią chwilę życia.

Pamiętajmy o naszych zmarłych.

Najmilsi bracia w Chrystusie! Wspomnijmy z uczuciem bojaźni o miljonach dusz, które w ciągu tego roku przeniosły się do wieczności. Sama liczba ogłoszeń zmarłych Pomocników i Pomocnic daje powód do poważnych zastanowień.

Chociaż w naszych Zakładach odmawia się codziennie dwa De profundis za zmarłych wogóle a za Pomocników Sal. w szczególności, chociaż w tejsamej intencji odprawiają się msze św. w różnych okolicznościach, jak np. w miesiącu listopadzie, w dniu następującym po uroczystości św. Fr. Salezego, chociaż ofiarują się za nich Komunie i modlitwy przy okazji ćwiczeń duchownych i t. zw. dobrej śmierci, i możemy mieć nadzieję, że z miłosierdzia Bożego zostali już przyjęci do chwały niebieskiej, mimo to polecamy naszym Pomocnikom kapłanom, aby zechcieli o nich uczynić szczególniejsze « Memento » we mszy św. Zwyczajnych zaś Pomocników prosimy, aby w tej samej intencji ofiarowali Bogu swoje modlitwy i przystąpili do komunii św. Ażeby się zaś głęboko przejąć tym uczynkiem miłosierdzia, pamiętajmy, że co my teraz uczynimy za zmarłych, to za zrządzeniem Bożem inni uczynią kiedyś za nas po naszej śmierci. Przy ćwiczeniu dobrej śmierci ks. Bosko każe swoim synom i wychowankom do modlitwy za zmarłych dodawać jedno Ojcze nasz i Zdrowaś za tego, któremu najpierwej wypadnie przenieść się do wieczności; tosamo polecał Pomocnikom z okazji zebrań dorocznych, i pragnął, żeby przy tem każdy pamiętał, iż to Ojcze nasz i Zdrowaś może się odmawia za niego i gotował się do tego ostatniego kroku życiem prawdziwie chrześcijańskiem.

Nekrolog.

Bibówna N. — Sułkowice, *Galicja*.
Brol Jan, — Januszkowice, *Górny Śląsk*.
Chilla X. Jan, proboszcz, — Rogi, *Królestwo Polskie*.
Dąbrowski Jan, — Czersk, *Prusy Zachodnie*.
Dobras Józef, — Granowiec, *W. Ks. Poznańskie*.
Gleba X. Józef, dziekan, — Grójec, *Królestwo Polskie*.
Gracz Walenty, — Przczyna, *Górny Śląsk*.
Hornik Tomasz, — Mikulczyce, *Górny Śląsk*.
Horoba Andrzej, — Wirek, *Górny Śląsk*.
Jadwiszczak Stefan, — Michałkowice, *Górny Śląsk*.
Kammler Feliks, — Żyrowa, *Górny Śląsk*.
Kopcewicz Michalina, — Trutowo, *Królestwo Polskie*.
Kowal Dominik, — Koszarowice, *Górny Śląsk*.
Kozielska Paulina, — Wilchowa, *Górny Śląsk*.
Łaska Karol, — Piaśniki, *Górny Śląsk*.
Pijowczyk Zuzanna, — Chropaczów, *Górny Śląsk*.
Rzychoń Franciszek, — Bogucice, *Górny Śląsk*.
Salewicz Feliks, — Wołkowce, *Galicja*.
Ślęczek Stanisław, — Radomyśl, *Galicja*.
Słowik Franciszek, — Zawodzie, *Górny Śląsk*.
Ussorowski Franciszek, — *Poznań*.
Wiśniowska Agnieszka, — Katowice, *Górny Śląsk*.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1908.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).